

PURPUROWY WODOSPAD
GERARD CINDY



RS

PROLOG

Scarlett Morgan ze smutkiem rozejrzała się po pamiętającej lepsze czasy jadalni hotelu przy Purpurowym Wodospadzie.

- Nie mam pojęcia, czemu dałam ci się na to namówić - powiedziała.

- Chwileczkę, przecież sama prosiłaś mnie o radę - bronił się jej przyjaciel, J.D. Hazzard. - Spełniłem tylko twoją prośbę.

- No więc popełniłam dwa błędy. Pierwszy, prosząc cię o radę. Drugi, słuchając jej. Ta loteria to był idiotyczny pomysł.

- Raczej desperacki, ale przecież wypalił - zauważył J.D. Udając obrażonego, padł na stare, dębowe krzesło i wziął z równie starego, dębowego stolika oszronioną szklanę z lemoniadą. Na wytartym dywanie, kryjącym wypaczoną podłogę, stało jeszcze kilkanaście tych stolików.

- Potrzebne ci były pieniądze - mówił dalej. -i dzięki loterii je zdobyłaś. Firmy, które kupiły puste losy, mogły je sobie odpisać od podatku. Szczęśliwy zwycięzca także, a na dodatek został jednym ze współwłaścicieli zabytkowego hotelu. A ty masz te swoje czterdzieści tysięcy. Wszyscy są zadowoleni.

Spojrzał błagalnie na siedzącą obok niego swoją żonę, Maggie. Nie zdążyła mu pomóc.

- Skoro wszyscy wygrali, to czemu czuję się taka przegrana? - skarżyła się dalej Scarlett.

Pomachała J.D. przed nosem listem, który poprzedniego dnia przywieziono jej łodzią. Dowiedziała się z niego, że zwycięzca loterii, a tym samym jej nowy wspólnik, Colin Slater, przyjeżdża z Nowego Jorku do północnej Minnesoty nazajutrz.

- Tylko posłuchaj. - Wyjęła z koperty list i przeczytała na głos jego fragment, który wyraźnie ją oburzył: - „Przyjeżdżam piątego na jakiś czas z wizytą”.

- Z wizytą! - prychnęła. - Dobrze sobie. Jaśnie pan odwiedzi swoich podwładnych. Na miłość boską, J.D.! Co ci wpadło do głowy, żeby sprzedawać los temu dzianemu facetowi? Choć to podobno twój przyjaciel, zachowuje się jak jakiś straszny krety.

- O, nie - zaprotestował J.D. - Colin to porządny gość. Inaczej bym go nie wybrał. Nie możesz mieć pretensji, że chce zobaczyć, w co zainwestował.

Scarlett cisnęła list na stół.

- Jestem pewna, że to jakiś wstrętny grubas z cygarem w zębach, który zna na pamięć najnowsze notowania giełdowe, ale założę się o ostatniego centa, że nie ma pojęcia o zarządzaniu hotelem, szczególnie tak wyjątkowym, jak Purpurowy Wodospad.

- To właśnie z powodu tego ostatniego centa zgodziłaś się na tę loterię - przypomniał jej ostrożnie J.D. - I nie zapominaj, że ty też nic nie wiedziałaś o zarządzaniu hotelem, kiedy sześć lat temu przenosiłaś się tu z St. Paul. A mimo to chciałaś spróbować.

Siedząca obok niego Maggie spoglądała na niego z obawą. Scarlett zmrużyła oczy.

- Czyżbyś sugerował, że nie znam się na interesach i dlatego mój hotel jest w ruinie?

- Scarlett - wtrąciła się Maggie - J.D. wcale nie twierdzi, że nie dajesz sobie rady. Po prostu taki hotel wymaga dużych inwestycji.

Maggie przerwała na chwilę. Czekwała, aż jej słowa dotrą do Scarlett i uspokoją ją.

- Chciał ci tylko przypomnieć, że zdecydowałaś się na tę loterię, bo potrzebujesz pieniędzy na remont Purpurowego Wodospadu. A Slater, choć nieźle mu się powodzi, wydał na swój los sporo forsy i to zupełnie zrozumiałe, że chce zobaczyć, na co.

- Ale nie było mowy, że tu przyjedzie - upierała się Scarlett. - Nie spodziewałam się, że będzie wtykał nos w moje sprawy. To mieszcuch. A tu przecież jest odludzie. Po co się tu pcha?

- Musisz się z tym pogodzić, maleńka. Facet ma do tego prawo - rzekł J.D., zachęcony wsparciem Maggie. - Nie wściekaj się na mnie, dumna kobieto. Sama wiesz, że można było tego uniknąć.

Czując wzbierające łzy, Scarlett odwróciła się do nich plecami. Podeszła do okna i wpatrywała się w zapierający dech widok - Purpurowy Wodospad, któremu hotel zawdzięczał swą nazwę.

Tak, rzeczywiście mogła uniknąć tej loterii. J.D. i Maggie zaproponowali jej pożyczkę, na tyle dużą, by pokryła koszty remontu. Wiedziała, że ich na to stać. J.D. miał dobrze prosperującą lotniczą firmę przewozową, a Maggie była jedną z najlepszych modelek.

- Może jestem w beznadziejnej sytuacji, ale nie będę doiła moich przyjaciół. Nawet gdybym miała stracić Purpurowy Wodospad - oznajmiła im wtedy z dumą.

Już sto razy o tym rozmawiali. Na próżno. Teraz J.D. podszedł do niej, położył jej ręce na ramionach i obrócił ku sobie.

- Wszystko będzie dobrze - powiedział. Scarlett przez chwilę wpatrywała się w podłogę, potem spojrzała na uśmiechniętą Maggie i stojącego obok niej J.D. Objęła go i przytuliła się do niego. Był jej przyjacielem. Maggie też. Uważała ich za wspaniałą parę - Maggie, klasyczna piękność i J.D., przystojny, dobrze zbudowany blondyn. Łączyła ich wielka miłość, uczucie, którego brakowało w dziesięcioletnim małżeństwie Scarlett, zakończonym nieprzyjemnym rozstaniem przed sześciu laty.

- Szkoda, że nikt cię nie sklonował - mruknęła, tuląc się do przyjaciela, - Przydałoby się jeszcze kilku takich, jak ty.

- Dokładnie to samo mówiłem wczoraj Maggie - oznajmił z udawaną powagą J.D.

- I przedwczoraj - dodała Maggie, podchodząc do nich.
- Daj Colinowi szansę, Scarlett. Nie znam go tak dobrze, jak J.D, ale jeśli on twierdzi, że Colin jest w porządku, to mu wierzę. Nie zapominaj, że i on zaryzykował.

Scarlett wysunęła się z objęć J.D. i ciężko westchnęła.

- Wiem, że macie rację - powiedziała bez przekonania. Nie potrafiła przyznać się do swych obaw. Obok Casey, hotel był najważniejszą rzeczą w jej życiu. Nic szczególnego - piętnaście pokoi, przeciekający dach i wypaczone podłogi - ale nie chciała go stracić. A jeszcze gorsza byłaby utrata możliwości zarządzania nim. Tylko raz w życiu

pozwoliła, by sprawy wymknęły się jej spod kontroli. Ten błąd kosztował ją nie tylko nieudane małżeństwo, ale i utratę dumy i niezależności. Teraz znów czuła się zagrożona. Nie tylko przez Slatera, ale i przez pewną firmę, która chciała wykarczować pobliskie lasy i zbudować w tej okolicy luksusowe domy.

- Dobrze, dam mu szansę - zgodziła się. - Ale Bóg mi świadkiem, jeśli zjawi się tu z teczką pełną planów przekształcenia Purpurowego Wodospadu w hotel pięciogwiazdkowy, gorzko tego pożałuje. Utopi się w jeziorze i, oczywiście, będzie to nieszczęśliwy wypadek.

Następnego popołudnia jej współnik dał znać przez radio, że już płynie. Czekała na niego na werandzie.

Jakieś pół kilometra dzieliło hotel od brzegu jeziora. Z tej odległości nie widziała twarzy ubranego w ciemny garnitur mężczyzny, ale kiedy ostrożnie postawił nogę na drewnianym pomoście, wiedziała, że to musi być Slater.

Łódź zakołysała się, Slater stracił równowagę i... wpadł do wody.

- Nie umiem pływać! - krzyknął.

Scarlett skrzywiła się. Wody było tam niewiele ponad metr.

- Cześć, kochanie - powitała podchodzącą do niej Casey.

- Czy to ten bogaty bubek? - spytała córka, patrząc na szamoczące się w wodzie Slatera.

- Niestety. Bądź tak dobra i pomóż mu. Ale nie spiesz się. Tak dziś gorąco, niech się człowiek ochłodzi.

Jeszcze raz z niechęcią spojrzała na swego nowego współnika i weszła do środka.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Colin Slater szedł obok swojej małej wybawicielki, starając się ignorować zarówno jej ironiczny uśmiech, jak i plaskanie swych przemoczonych włoskich butów.

- Na pewno nic panu nie jest?

Gdyby w jej głosie było mniej rozbawienia, a więcej troski, może i zapewniłby ją, że czuje się świetnie. Gdyby było mu mniej głupio, że zrobił z siebie takiego idiotę, topiąc się w wodzie sięgającej zaledwie do pasa, odpowiedziałby jej może czymś więcej niż tylko mruknięciem.

Nie pozostało mu nic innego, jak chwycić mocniej walizkę i piąć się za dziewczynką wiodącą w górę ścieżką.

Był zachwycony. Tak samo, jak czułby się na pustyni w czasie burzy piaskowej. Bez wielbłąda i bez faksu.

- Jestem Casey - przedstawiła się w pewnym momencie dziewczynka. - Mama myślała już, że pan nie przyjedzie.

- I tak powinienem zrobić - mruknął pod nosem Slater.

Gdyby to od niego zależało, na pewno nie byłby teraz na tym odludziu. Siedziałby na Manhattanie i załatwiał kontrakt, nad którym pracował od trzech miesięcy.

Stał teraz przed starym, zniszczonym budynkiem, w który zamierzał zainwestować swoje pieniądze. Dobre sobie!

Colin Slater, milioner i, według „Wall Street Journal”, rekin biznesu, był największym frajerem na świecie.

Nie mógł się powstrzymać od ponurego uśmiechu. J.D. Hazzard minął się z powołaniem. Zamiast prowadzić przedsiębiorstwo przewozowe, powinien sprzedawać piasek arabskim szejkom. Jeśli nawet nie udałoby się mu ich przekonać, że naprawdę potrzebują go więcej, kupiliby od niego wszystko, byle tylko się go pozbyć. Tak jak Colin, który kupił te losy, żeby J.D. przestał marudzić.

- Potraktuj to jako dobry uczynek - namawiał J.D. ze swym uroczym uśmiechem, którym od kilku lat czarował wszystkich w firmie Slatera - od recepcjonistki po jego osobistą sekretarkę.

- Jestem pewien, że wiesz, co to takiego, prawda, Slater? - mówił. - Na pewno zrobiłeś jakiś, zanim stałeś się tak obrzydliwie bogaty.

Hazzard doskonale wiedział, że, często proszony o wsparcie, Colin zawsze ochoczo sięgał do kieszeni.

- Co dla ciebie znaczy kilka tysięcy - dodał, podsuwając mu pod nos garść losów.

Miał rację. Ubytku pieniędzy, które wyłożył na możliwość zdobycia części tego zrujnowanego hotelu, nawet nie zauważył. Do teraz, pomyślał z niechęcią, potykając się o jakiś wyszczerbiony schodek. W ogóle nie liczył na wygraną. A już tym bardziej nie miał zamiaru jej egzekwować.

- Możecie sobie pogratulować - mruknął pod nosem, mając na myśli nie tylko J.D., ale swego brata, Camerona, który przekonywał go, że przyda mu się krótki odpoczynek. Poparła ich nawet jego sekretarka.

Prawie siłą wsadzili go do jego prywatnego odrzutowca

i kazali trzymać się z daleka od Nowego Jorku przez co najmniej dwa tygodnie.

A teraz był już na tym odludziu, załatwiony na dobre. Wydostać się stąd można było tylko łodzią lub samolotem.

Scarlett prawie upuściła na stół miskę z czekoladową polewą.

- Co takiego?

- Dałam mu pokój Belindy - powtórzyła Casey, wyraźnie z siebie zadowolona. Zanurzyła palec w misce z polewą i ze śmiechem odbiegła od stołu, unikając klapsa matki.

- Jak mogłaś? - Scarlett oblewała czekoladą ciasto, które chciała podać swoim gościom na deser. - Choć wcale nie jestem zachwycona jego wizytą, nie możemy umieścić pana Slatera w tym pokoju. Belinda da mu popalić.

- Jak każdemu mężczyźnie, który tam śpi - zauważyła z figlarnym uśmiechem Casey.

- I dlatego zawsze umieszczamy tam tylko panie - przypomniała jej Scarlett.

- Oj, mamo, nie bądź taka zasadnicza. Stęskniłam się za nią.

- Ja też - prychnęła Scarlett. - Jak za bólem zęba. Dość już miałyśmy z nią kłopotów.

- Będzie śmiesznie, zobaczysz - przekonywała matkę Casey. - Naszym gościom zawsze się to podobało.

- Bo przekonywałyśmy ich, że jest niegroźna. Nie każdy lubi sypiać z duchem.

- Panu Slaterowi to, zdaje się, nie przeszkadza.

Scarlett spojrzała na córkę uważnie.

- Powiedziałaś mu o niej?

- Mniej więcej.
- Założę się, że raczej mniej.

To nie moja wina, że mi nie uwierzył - uśmiechnęła się Casey. - Ależ będzie zabawa, jak Belinda zacznie rozrabiać.

- Ty złośliwa bestio - skarciła ją Scarlett, z trudem sama powstrzymując śmiech. Tmno się było oprzeć pragnieniu zemsty na kimś tak bogatym i nadętym jak Slater.

Odstawiła na bok ciasto i zjrzała do zapiekanki, którą za godzinę miała zamiar podać gościom na kolację.

- A co powie J.D. na to, że naraziłyśmy pana Slatera na spotkanie z Belindą? - spytała.

- O rany, nie pomyślałam o tym. Przecież oni się przyjaźnią. - Casey otworzyła szafkę kuchenną i powoli zaczęła wyjmować talerze. - Ale przecież J.D. wcale nie musi się o tym dowiedzieć, prawda?

- O czym?

Na dźwięk obcego, męskiego głosu Scarlett drgnęła gwałtownie. Odwróciła się i w milczeniu patrzyła na stojącego w drzwiach mężczyznę.

J.D. nie musi się dowiedzieć, że spadł pan z pomostu

- powiedziała szybko i z niewinnym uśmiechem Casey.

Właśnie mówiliśmy, że trzeba panu oszczędzić tego zakłopotania. Prawda, mamó?

Scarlett nie miała czasu, by podziwiać refleks swojej córki. Zainteresowało ją zupełnie co innego - szerokie ramiona i ciemnokasztanowe włosy, lekko jeszcze wilgotne po kąpielii w jeziorze.

A także magnetyzujące spojrzenie stalowoszarych oczu oraz twarz człowieka, który potrafiłby sprzedać wszystko - od whisky po czarne, atłasowe prześcieradła.

A więc to jest Colin Slater.

Scarlett westchnęła głęboko. Z daleka widziała tylko elegancki garnitur i młóćące wodę ręce. Z bliska okazało się, jak bardzo się myliła, spodziewając się brzuchatego faceta z cygarem w zębach.

Pozbył się już przemoczonego na pewno do suchej nitki ubrania i miał teraz na sobie białą koszulę z krótkimi rękawami i brązowe spodnie. Nie były to, co prawda, szorty i podkoszulek, strój typowy dla mieszkańców tych okolic tej porze roku, ale i tak lepsze niż garnitur. I ani śladu brzucha.

Zawstydziły ją te rozmyślenia. Figura pana Slatera to nie jej sprawa.

- Nakryj stoły, Casey - powiedziała. - Muszę omówić z panem Slaterem kilka spraw.

- Szczury - mruknęła pod nosem Casey. Ostrożnie wzięła talerze i pupą otworzyła sobie wahadłowe drzwi.

- Ależ by była zabawa.

- Jakiś problem? — spytał Slater.

Jego głos - zdecydowany, ale delikatny, pełen zaciekania, ale uprzejmy i niepokojąco zmysłowy, nie pozwolił jej nie myśleć o jego ciele.

Wciąż była świadoma jego obecności. Dlaczego?

Bo spodziewała się nadętego grubasa? Bo nie spodziewała się takiego mężczyzny?

W końcu wzięła się w garść i przybrała uprzejmy, obojętny wyraz twarzy.

- Najpierw sprawy formalne. - Wytarła rękę w ścierekę i wyciągnęła ją ku niemu. - Jeszcze się nie poznaliśmy. Jestem Scarlett Morgan.

- Colin Slater, jak się już pani domyśliła.

W odróżnieniu od jego uśmiechu, chłodnego, choć uprzejmego, jego dłoń była ciepła, a spojrzenie uważne. Znowu zachwycił ją kolor jego oczu. Szarość wyglądała zazwyczaj pospolicie i nieciekawie. A jego oczy wcale takie nie były. Przypominały raczej nieco zamglone żywe srebro. Nie mogła na nie nie patrzeć. One też studiowały ją dokładnie.

Nie, dość tego. Scarlett Morgan nigdy nie lubiła niespodzianek, a z jedną z nich miała niestety właśnie do czynienia.

Jego dłoń była silna i gorąca. Uścisk był mocny i zdecydowany. Klatka piersiowa imponująca i bardzo owłosiona. Brzuch twardy i płaski. Biodra szczupłe, nogi długie i po męsku odrobinę krzywe.

Scarlett była zniesmaczona swymi własnymi obserwacjami. To nie jej sprawa.

No to co, że nie jest takim mieszcuchem, jakiego się spodziewała. Co z tego? Jest piękny, ale to nie znaczy, że bezpieczny. Wciąż nie była zachwycona jego obecnością. Przypomniła sobie, jak szorstka jest jej dłoń, którą nadal trzymał w mocnym uścisku, i zrobiło jej się bardzo głupio. Cofnęła ją i chwyciła ścierkę. Praca w hotelu nie sprzyja białym i gładkim dłoniom. Co wieczór długo wcierała w nie krem odżywczy, ale mimo to nadal były szorstkie jak papier ścierny.

No to co? Co cię obchodzi, że to zauważył? skarciła się w myślach.

- Teraz wygląda pan zupełnie inaczej - powiedziała. Słyszac swój drżący i niepewny głos, zarumieniła się. - Przepraszam, to była głupia uwaga.

Colin Slater wcale się nie obraził.

- Nie ma sprawy - rzekł. - Ja też teraz czuję się zupełnie inaczej.

Scarlett spojrzała na niego z uśmiechem.

- A więc nie będzie się pan tłumaczył z tego, co się stało?

- I że to nie moja wina, że zrobiłem z siebie idiotę?
- zaśmiał się Colin. - Nie, to nie w moim stylu.

Podobał jej się wdzięk tego stwierdzenia. A jeszcze bardziej bezpośredniość i szczerść następnego.

- Wiem, że się narzucam. Mam nadzieję, że nie ma mi pani za złe mojego przyjazdu - powiedział.

- Oczywiście, że nie - odparła szybko, naśladowując jego uprzejmy ton.

- Nie mogła uwierzyć, że nie zakrztusiła się tymi słowami. Miała mu za złe jego przyjazd. Miała mu za złe jak cholera.

Kłamstwo, nawet niewinne, nie było w jej stylu. Jednak nie wycofała się z niego, lecz brnęła dalej.

- Purpurowy Wodospad jest teraz po części pana własnością. Pańskie zainteresowanie nim jest zrozumiałe.

Wcale jednak nie uważała jego przyjazdu za zrozumiałe. I nie miała pojęcia, czemu w obecności tego mężczyzny zupełnie nie wie, jak się zachować, i dlaczego jest taka zdenerwowana.

Nie, nieprawda. Wiedziała aż za dobrze. Tylko nie chciała w to uwierzyć. Było to coś czysto fizycznego. Bardzo silnego i wszechogarniającego.

Z początku nie rozpoznała tego uczucia, bo już od tak dawna go nie doświadczała. Była przekonana, że jej związek z Johnem i późniejszy rozwód na całe życie uodporniły ją na płęć przeciwną. Najwyraźniej się myliła.

Owszem, widywała atrakcyjnych mężczyzn, choć trzeba

przyznać, że jeśli nawet po przyjeździe do hotelu nie śmierdzieli rybami i nie wyglądali jak niedźwiedzie, to wyjeżdżając, już tak. Czasami jednak pojawiał się jakiś samotny, przystojny mężczyzna, który wykazywał zainteresowanie jej osobą. Tyle tylko, że żaden z nich jej nie odpowiadał.

Czym więc ten mężczyzna różni się od tamtych? No, dobrze, owszem, jest miły, przystojny i pewny siebie. A także wykształcony, obyty i szalenie atrakcyjny. I w dodatku jego głos byłby tak samo uwodzicielski, nawet gdyby czytał zwyczajną prognozę pogody.

Ale to nie wszystko. W jego obecności czuła się jak kobieta. Kobieta, która dawno zapomniała o swej zmysłowości i uwodzeniu mężczyzn.

- Scarlett?

Jego głos gwałtownie wtargnął w jej myśli.

- Co? - powiedziała szybko. - Co takiego? Co pan powiedział?

Słater uśmiechnął się. Był wyraźnie rozbawiony.

- Słyszałem, że takie krótkie wakacje bywają cudowne. Scarlett poczuła, że się rumieni.

~ O, przepraszam. Jestem taka rozkojarzona. Wie pan, przygotowuję kolację dla gości.

Westchnęła głęboko. Zauważyła jego zaciekawione spojrzenie i poddała się.

- A niech to diabli - mruknęła.

Rzuciła ścierkę na blat i ujęła się pod boki. Była wściekła, że tak na niego reaguje. To takie do niej niepodobne. Przecież Scarlett Morgan nigdy nie kłamie. Niczego nie udaje. Nie odwraca kota ogonem. Szczerość jest jej główną zaletą.

- Prawda jest taka, panie Słater, że to przez pana jestem

taka rozkojarzona. Kłamałam, mówiąc, że nie przeszkadza mi pańska obecność. Kłamałam, kiedy mówiłam, iż rozumiem, że chce pan obejrzeć mój hotel. W rzeczywistości...

- Drażni panią moja obecność? Nie chce pani, bym wtykał wszędzie swój nos? - dokończył za nią.

Scarlett leciutko uniosła głowę. Obojętnie wzruszyła ramionami.

- Przykro mi, ale to prawda. Niech pan nie bierze *tego* do siebie. Po prostu.

I znów podpowiedział jej zakończenie, na które pewnie sama by się nie zdobyła.

- Potrzebowała pani moich pieniędzy, a nie rad.

Ponieważ trafił w samo sedno, Scarlett spuściła wzrok. Wpatrywała się w jakąś plamę na blacie.

- Ale wie pan, mimo wszystko pana polubiłam.

- To dobrze. Bo będzie mi pani musiała teraz zaufać. Otóż nie przyjechałem tu wcale po to, żeby oglądać ten hotel.

Scarlett spojrzała na niego z powątpiewaniem, a teraz z obrobiną nadziei.

- Nie?

- Nie.

Brzmiało to zupełnie szczerze. I nawet chciała mu uwierzyć, ale były mąż nauczył ją aż za dobrze, że mężczyźni rzadko robią coś bez powodu. Więc choć miała już nie najgorszą opinię o Colinie Slaterze, wątpiła, czy ma akurat do czynienia z wyjątkiem.

- Wobec tego muszę zadać panu pytanie, które w tej sytuacji nasuwa się samo. Po co pan tu przyjechał?

Obrzucił ją krótkim spojrzeniem, a potem zaczął spacerować po kuchni.

- Wygląda na to, że posiedzę tu przez kilka tygodni, więc lepiej mówmy sobie po imieniu - rzekł.

Scarlett w milczeniu obserwowała jego wędrówkę.

- A teraz odpowiem na twoje pytanie. Przyjechałem tutaj, bo dobrze mi życzący przyjaciele i rodzina uznali, że przydadzą mi się wakacje - oznajmił z wyraźną irytacją.

Zatrzymał się na moment i wziął do ręki spory słoik z fasolką, którą Scarlett zawetowała przed paroma tygodniami. Przyglądał mu się przez chwilę, potem skrzywił się, odstawił go na miejsce i wsunął ręce głęboko w kieszenie.

- Twierdzą, że jestem pracoholikiem. Że się wypaliłem i jestem zupełnie wypompowany - tak, tego określenia używali ze szczególną przyjemnością. I oznajmili, że potrzebny mi wypoczynek.

Scarlett nie miała wątpliwości, że rzeczywiście jest pracoholikiem. Sposób, w jaki poruszał się po kuchni, to ciągłe napięcie mięśni, świadczyły o ogromnej energii. Nie mogła jednak uwierzyć mu na słowo.

- Naprawdę? Nie przyjechałeś tu, żeby powęszyc trochę w finansach hotelu?

- Naprawdę.

Odczuła ulgę, ale i nowe wątpliwości.

- Czy jednym z tych dobrze ci życzących przyjaciół był J.D. Hazzard? - spytała ostrożnie,

- Jednym? - prychnął Colin. - To on był głównym pomysłodawcą. Przekonał wszystkich, że najlepiej wypocznę właśnie tu.

- On? Naprawdę? - Scarlett przypomniała sobie, z jakim zapamiętaniem J.D. przekonywał ją, że Slater przyjeź-

dza, by ocenić swoją nową inwestycję. - Nie masz więc zamiaru wtrącać się w sprawy prowadzenia tego hotelu?

- Jak mógłbym cię przekonać? Musisz mi po prostu zaufać. Ten hotel w ogóle mnie nie interesuje.

- Nie jestem z natury podejrzliwa - odrzekła zmarszczywszy brwi, Scarlett - ale czemu, wobec tego, wzięłeś udział w tej loterii?

Slater znów przerwał swoją wędrówkę po kuchni. Wziął do ręki słoik jej dżemu jagodowego i przez chwilę mu się przyglądał.

- J.D. twierdził, że to był szlachetny cel. Ochrona za-
bytkowego budynku.

- A ty wszystko, co mówi ci J.D. bierzesz za dobrą monetę?

- Nigdy do tej pory się na nim nie zawiodłem - odparł ze wzruszeniem ramion Slater.

- Do teraz - odparła. Wiedziała już, że jej podejrzania były słuszne.

- Chcesz powiedzieć, że moje pieniądze nie zostały wydane na szlachetny cel? - zaniepokoił się Slater.

Niechętnie spojrzała mu w oczy. I równie niechętnie sformułowała swoje obawy.

- Chcę powiedzieć - zaczęła ostrożnie - że czuję tu podstęp naszego wspólnego przyjaciela, człowieka najbardziej lubiącego wtrącać się w nie swoje sprawy. Mówiąc konkretnie: J.D. Hazzarda.

Zdziwienie na twarzy Slatera powiedziało jej, że się nie myli.

- A niech go wszyscy diabli - mruknęła. - Gdyby Maggie nie była moją przyjaciółką, z przyjemnością udu-
siłabym tego jej blondaska.

Slater wyraźnie wolałby się znów skapać w jeziorze, niż prowadzić taką rozmowę.

- No, dobrze, a możesz być bardziej konkretna? - spytał.
- Wątpię, czy by ci się to spodobało - odparła Scarlett.
- Płacenie podatków też mi się nic podoba, ale nie znaczy to, że mogę ich uniknąć.
- A więc lepiej usiądź.

RS

ROZDZIAŁ DRUGI

Slater oczywiście nie usiadł. Złożył ręce na piersi i stał naprzeciwko niej.

- Aż nie mogę uwierzyć, że byłem taki naiwny - rzekł.

Scarlett spojrzała na niego i zrobiło się jej go żal.

- Nie rozumiesz, o co tu chodzi? J.D. wykombinował te szlachetne motywy, by cię tu ściągnąć.

- Wykombinował?

Jak na biznesmena był mało domyślny. Scarlett nie chciała jednak go uświadamić. Wołała, by sam doszedł do odpowiednich wniosków.

- Przekonał cię, jak ważne jest ocalenie tego hotelu, ziemi i jeziora i zachowanie ich w nienaruszonym stanie. A co konkretnie powiedział ci o mnie?

- O tobie? - zmarszczył brwi Slater.

Scarlett kiwnęła głową. Było jasne, że ten człowiek niczego się nie domyśla.

- Nawet nie pamiętam. Coś, że bardzo starasz się utrzymać ten hotel. Że jesteś... - Przerwał, bo najwyraźniej zaczął już coś rozumieć.

- Że jestem jaka?

Slater przymknął oczy i przeczesał palcami włosy.

- Powiedział, że jesteś inteligentna. Masz ogromne poczucie humoru. Jesteś wspaniałą kucharką. I dobrą matką. Dobrą samotną matką.

- Co takiego? A nie wspomniał, że mam wszystkie zęby?

- Kurczę, a myślałem, że nikt mnie nie nabierze. Wychodzi na to, że inicjując to spotkanie, nasz kumpel miał na myśli coś więcej niż tylko mój odpoczynek.

- Nasz kumpel jest po prostu wstrętnym intrygantem - syknęła przez zaciśnięte zęby Scarlett. - Ciagle próbuje mnie z kimś wyswatać. Od kiedy ożenił się z Maggie, stał się jeszcze gorszy. Ale tym razem przesadził. - Zamilkła, wyraźnie zawstydzona. - Mam nadzieję, że nie myślisz, iż miałam z tym cokolwiek wspólnego.

- I wzajemnie - rzekł, podchodząc bliżej do niej. - Jak mogłem być taki niedomyślny.

- Przecież to absurd. Ty... to znaczy... Spójrz tylko na siebie. I spójrz na mnie.

Colin oczywiście na nią spojrział. Właściwie cały czas na nią patrzył. I, o dziwo, to, co widział, bardzo mu się podobało.

Była zupełnie niepodobna do znanych mu kobiet, z których żadna nie pokazałaby się ludziom bez pomocy co najmniej Margaret Astor. Ale J.D. miał rację - Scarlett Morgan była całkiem atrakcyjną kobietą.

Już kiedy wszedł do kuchni i zastał ją tam razem z Casey, zauważył jej naturalną urodę. I, choć to banał, w jej przypadku aż nadto prawdziwy - bez trudu mogłaby uchodzić za starszą siostrę swojej córki.

Były uderzająco do siebie podobne. Miały nie tylko blond włosy tego samego rudawego odcienia, ale i obie były uczesane we francuski warkocz. U córki wyglądał on oryginalnie, u matki po prostu seksownie. Podobnie jak rozsiane po opalonej twarzy piegi i smuga czekolady na

policzku dodawały jej jakiegoś zmysłowego uroku. Opalone ramiona świadczyły o sile i zdrowiu, o życiu bez obawy o dziurę ozonową i szkodliwe promienie słoneczne. Zastanawiając się, czy jej ciało całe jest tego miodowozłotego koloru, Slater poczuł w dole brzucha dziwne gorąco.

Wiedział, że nie zaspokoi tej ciekawości. Dała mu przecież aż nadto jasno do zrozumienia, że pochodzą z różnych światów, a on tylko na krótko pojawił się w jej życiu.

Choć był to wniosek oczywisty, Slater nie mógł powstrzymać uczucia żalu. Szybko jednak odzyskał nad sobą panowanie i odrzucił tę myśl.

- To bardzo wiele wyjaśnia - mówiła dalej Scarlett. - Na przykład dlaczego J.D. nie zjawił się tu, by cię powitać. I dlaczego tak bardzo mnie przekonywał, że przyjeżdżasz do Purpurowego Wodospadu tylko po to, żeby obejrzeć swój nowy nabytek. To wszystko było tylko zasłoną dymną.

- I to, że namawiał mnie na odpoczynek, ale koniecznie tutaj - dorzucił Slater.

- Bardzo mi przykro.

Slater nie wątpił w szczerść jej słów.

- Przecież nie miałaś z tym nic wspólnego.

- To prawda - przyznała z lekkim uśmiechem.

W każdym razie jeśli chodzi o odpoczynek, to nie mogłaś lepiej trafić. Purpurowy Wodospad to idealne miejsce na relaks.

- Gdybym potrzebował relaksu-zauważył, nie kryjąc ironii - wynająłbym masażystę, a nie leciał samolotem do tej dziury zabitej dechami, gdzie można tylko zanudzić się na śmierć.

Ledwo wypowiedział te słowa, wiedział, że dotknął bo-

lącego tematu. I to bardzo, sądząc po jej minie. Scarlett nie była po prostu zła. Była wściekła. Najwyraźniej widać było to w jej oczach. Nie były już dobre i pełne ciepła, lecz złe i lodowate.

A jemu znów wpadła do głowy zupełnie nie proszona, wręcz zakazana myśl. Jak wyglądałyby te oczy rozgrzane namiętnością?

- Może dla ciebie Purpurowy Wodospad to zabita dechami dziura - powiedziała z urażoną dumą Scarlett. - Dla mnie to dom i lubię go takim, jaki jest. Przykro mi, że ci się nie podoba.

Kiedy w końcu udało mu się oderwać od niej oczy, zebrał myśli i zdobył się na należne jej przeprosiny.

- Przepraszam, że tak to zabrzmiało. To dlatego, że nie noszę, kiedy się mną manipuluje. A memu przyjacielowi udało się to bez trudu. Nie chciałem sprawić ci przykrości. Chodzi mi o to, że tu jest tak... cicho. Czuję się trochę niespokojny. Jestem przyzwyczajony do...

- Hałas? Zanieczyszczonego powietrza? Duchoty? - wymieniła za niego Scarlett z kwaśnym uśmiechem, na który nie mógł nie odpowiedzieć.

Miała ostry język i jeszcze ostrzejszy dowcip. Podobało mu się to. Tak samo jak jej oczy.

- Miałem raczej na myśli trochę większy ruch - odparł.

Odpowiedziała znanym mu już tajemniczym uśmiechem.

- Co takiego? - spytał. - Znowu przypomniałaś sobie coś, w co mnie nie wtajemniczono?

- Nie, zaczęłam jednak trochę bawić się tym wszystkim. Wychodzi na to, że J.D. bardzo się napracował, zastawiając na nas tę pułapkę. Sprawił, że jeszcze cię nie

znając, zniechęciłam cię za wtrącanie się w moje sprawy. I ten twój list... No, tak - przerwała, widząc zdziwienie na jego twarzy. - Powinam się domyślić. Nie napisałeś żadnego listu, prawda?

Slater pokręcił głową.

- Co było w tym liście, którego nie napisałem?

- Nieważne - odparła Scarlett. - W każdym razie najpierw zaprezentował cię jako strasznego snoba, a potem siedział tu, bronił cię i błagał, bym dała ci szansę. Niezły z niego aktor - dodała z podziwem, ale szybko wróciła do rzeczy. - Nie możemy pozwolić, by uszło mu to płazem.

Jej oczy błyszczały niebezpiecznie. Równocześnie było w nich coś uwodzicielskiego.

- Wsadzenie go do mrowiska jest pewnie wykluczone.

- Wcale nie. Zachowamy to w odwodzie, jeśli nie wymyślę czegoś jeszcze gorszego. Ale podoba mi się twój sposób myślenia,

Wymienili krótkie, konspiracyjne uśmiechy. I znów zaskoczyło go spojrzenie jej brązowych oczu, wesołych i dumnych, jej silny charakter i niemożliwa do ukrycia zmysłowość.

Oszołomiony siłą i nagłością tych odczuć, znów zaczął wolno spacerować po kuchni. Próbował się uspokoić i zebrać myśli.

Przecież to tylko dwa tygodnie, przekonywał sam siebie.

Za dwa tygodnie już go tu nie będzie. To nie pora ani nie miejsce, a i Scarlett nie jest tą kobietą, z którą można zacząć coś, czego nie byłby w stanie kontynuować. Koniec nie zaczętej dyskusji.

Scarlett obserwowała go. Jeszcze nigdy nie miały nia tak sprzeczne uczucia. Przed jego przyjazdem była gotowa

obojętnie go tolerować. Spodziewała się długich, szczegółowych wypytywań o sprawy finansowe. A teraz nie tylko pociągał ją fizycznie, ale wręcz go polubiła.

I choć musiała nazwać to przyjemną niespodzianką, wolałaby mieć do czynienia z tłustym, bladym mieszcuchem. Colin Slater był zbyt przystojny, zbyt męski, zbyt pełen życia, by mogła czuć się przy nim swobodnie.

A jednak, patrząc, jak podenerwowany i zły, a mimo to niesamowicie atrakcyjny, miota się po jej kuchni, współczuła mu. On też na to wszystko nie zasłużył.

W dodatku miała dla niego w zanadru dalsze niespodzianki.

Unikając z nim kontaktu - wzrokowego, cielesnego czy jakiegokolwiek innego - podeszła do lodówki, otworzyła ją i przeszła do rzeczy.

- A skoro już wyjaśniamy sobie wszystkie sprawy, to mam dla ciebie jeszcze jedną niespodziankę. Casey też zastawiła na ciebie małą pułapkę - powiedziała.

- Jasne, czemu nie. Przecież aż się o to prosiłem. Pozwól, że zgadnę. Czyżbyś miała na myśli to, że kiedy wyciągała mnie z wody, jej ręka dwa razy przypadkowo wysunęła się z mojej?

Co za dziewczyna! pomyślała Scarlett. Nie podniosła głowy, lecz z zainteresowaniem przyglądała się sałacie.

- Czyżbyś nie zauważył, że jesteś od niej o kilka kilogramów cięższy? - spytała, bez powodzenia próbując ukryć uśmiech.

- Za to ona ma szczególne poczucie humoru - odparł, lecz w jego głosie nie było gniewu.

Musiała mu przyznać kolejne punkty za tolerancję. Tym samym gdzieś zniknęły resztki jej niechęci.

- Zgadza się. To właśnie ono podpowiedziało jej, jaki dać ci pokój.

Masz na myśli tę historię z duchem?

- Powiedziała ci o tym? - Scarlett nie mogła ukryć zdziwienia.

- Poinformowała mnie tylko, że daje mi najpopularniejszy pokój gościnny, w którym podobno straszy. O ile dobrze pamiętam, duch jakiejś córki Koryntu. Jak ona to powiedziała...? „Legenda o pannie młodej z Purpurowego Wodospadu”.

Scarlett wzruszyła ramionami i nie zareagowała na wyraźny sceptycyzm w jego głosie.

- W skrócie może być.

- A w całości? - Stał obok niej, oparty biodrem o blat kuchenny, i wyglądał na rozbawionego, a równocześnie znudzonego i obojętnego.

Nie miała do niego pretensji, że nie wierzy w istnienie duchów. Ją samą, gdyby nie mieszkała tu od sześciu lat, też niełatwo by było o tym przekonać. Jak każda realistka, próbowała wyjaśnić to irracjonalne zjawisko przypadkowym zbiegiem okoliczności, pogodą czy awarią prądu.

W korku uznała, że będzie prościej zaakceptować obecność Belindy, czy raczej jej ducha, w hotelu i nauczyć się z nim żyć. Musiała tylko pamiętać, by w pokoju Belindy nigdy nie umieścić mężczyzny. W hotelu było wtedy dużo spokojniej, a goście płci męskiej nie uciekali pierwszą łodzią gdzie pieprz rośnie.

To, czy Belinda istniała, czy nie, było w gruncie rzeczy bez znaczenia. Sceptycyzm Colina Slatera też był jej obojętny. Trzeba było tylko za wszelką cenę nie pozwolić mu zamieszkać w tym pokoju.

Uznała, że najlepiej będzie zbagatelizować całą sytuację.

- Szkoda czasu na starą, głupią opowieść o duchu - powiedziała.

- Wcale nie. Jestem biznesmenem. Wiem, co jest dobre dla prowadzenia interesów. Na Wschodnim Wybrzeżu każdy zajazd ma swego ducha czy nawet dwa, które przyciągają ciekawskich i żądnych przygód. Czemu nie miałby go mieć stary hotel na odludziu? Opowiedz mi tę historię. Chętnie się zabawię.

A więc niech mu będzie. Opowie mu, choć jest pewna, że nie uda jej się go przekonać. Tylko Belinda byłaby w stanie to zrobić, ale Scarlett jej na to nie pozwoli.

- Hotel zbudowano w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku - zaczęła, bardzo zajęta przygotowywaniem sałaty. - Dawał on handlarzom futer i drwalom coś więcej niż tylko łóżko i gorącą strawę.

- Masz na myśli dziewczynki? - domyślił się od razu Slater.

Scarlett skinęła głową.

- W tamtych czasach snuło się tu wielu mężczyzn z dużą ilością pieniędzy. Samotnych mężczyzn. Hotel był idealnym miejscem na burdel.

Belinda - mówiła dalej, rwąc sałatę i krojąc pieczarki i ogórki - była jedną z nich. Któregoś dnia zjawił się tu pewien Szwed i zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia. Kiedy poprosił ją o rękę, była przekonana, że oto zjawił się jej książę.

- Ale on zmienił się w żabę? - dopowiedział Colin.

- Tak mówią. Kiedy nadszedł dzień ślubu, Szwed prze-

straszył się. Zostawił ją przed ołtarzem, a raczej w tym przypadku, przy barze w jadalni.

Choć opowiadała tę historię setki razy zarówno ciekawskim, jak i sceptykom, zawsze na myśl o Belindzie robiło jej się smutno. Czuła z nią jakąś kobiecą więź.

- I... - domagał się dalszego ciągu Slater.

Scarlett wzruszyła ramionami, odpędzając od siebie chwilowy smutek.

- Stanęła na skraju urwiska i rzuciła się w nurt wodospadu. Jej ciała nigdy nie odnaleziono.

- A teraz straszy w twoim hotelu? - zakończył protekcyjnym tonem.

Wybaczyła mu taki stosunek do sprawy, bo przecież skąd mógł wiedzieć, że tak istotnie jest.

- Konkretnie w pokoju, w którym umieściła cię Casey. Tam Belinda pracowała.

- A teraz mści się na wszystkich mężczyznach za to. co zrobił jej narzeczony.

Widząc, że Slater nadal wcale w to nie wierzy, Scarlett uśmiechnęła się do siebie.

- Tak to można ująć.

- To wspaniała historia, ale nic więcej. Po prostu historia - podsumował Cołin Slater.

- Niech ci będzie.

- A ty w nią wierzysz?

- Casey wierzy.

- Nie o to pytałem.

- Miałam zbyt wiele dowodów - wzruszyła ramionami Scarlett.

Jego mina powiedziała jej wszystko. Uważał ją za pomyłką. Niech mu będzie. Nie on pierwszy. Gdyby ktoś

potrafił jej racjonalnie wyjaśnić to, co dzieje się w pokoju Belindy, kiedy mieszka tam jakikolwiek mężczyzna, z przyjemnością zapomniałaby o duchach.

Jak na razie zarabiała na istnieniu Belindy i musiała zrobić wszystko, by Colin Slater wyniósł się z tego pokoju, zanim Belinda zacznie swoje figle. Z drugiej zaś strony zgadzała się z Casey - miałyby niezłą zabawę, gdyby pozwoliły mu na zawarcie osobistej znajomości z duchem Belindy.

- Zresztą jestem pewna, że w innym pokoju będzie ci wygodniej. Po kolacji przeniesiemy twoje rzeczy do pokoju Annabelle. Jest trochę większy i ma lepszy widok na jezioro i wodospad. Jest w końcu korytarza, więc będziesz miał ciszę i spokój.

- Nie ma powodu - odparł zdecydowanie. - U Belindy będzie mi dobrze. Zresztą już się rozpakowałem.

- Nie szkodzi - mówiła Scarlett nie zrażona jego oporem i spojrzeniem szarych oczu. - Wszystko bez problemu przeniesiemy. Zobaczysz, że u Annabelle naprawdę będzie ci lepiej.

- Dzięki, ale lepiej mi będzie u Belindy. Nie wierzę w duchy, więc nie ma obawy.

Scarlett przyglądała mu się przez dłuższą chwilę. Zastanawiała się nad jego uporem i swoją własną reakcją na niego. Wcale jej się nie podobało, że tak na nią działa.

Dlaczego tu przyjechał i w dodatku sprawił, że go polubiła? Dlaczego obudził w niej pragnienia i uczucia schowane głęboko wraz z dokumentem rozwodowym i ślubnymi fotografiami?

Nie może sobie pozwolić na komplikacje, które takie zauroczenie mogłoby spowodować. Nie ma na to ani czasu,

ani siły. W hotelu jest aż za dużo pracy. Dochodzi jeszcze walka z instytucjami, które chcą zniszczyć okoliczne dziewicze lasy i postawić na ich miejscu szklano-betonowe budynki.

Nagle uznała umieszczenie Golina Slatefa w pokoju Belindy za znakomity pomysł. Może zmniejszy to nieco jego pewność siebie? Niech i on poczuje się trochę nieswojo. Właściwie nawet wyświadczy mu przysługę. Śpiąc w pokoju Belindy, na pewno nie będzie się nudził.

W końcu usprawiedliwiła swą decyzję główną zasadą biznesu: daj klientowi to, czego pragnie.

- Dobrze - powiedziała w końcu. - Będzie, jak sobie życzysz.

- Mam nadzieję, że wyrzuty sumienia nie przeszkodzą ci dziś w śnie. Zrobiłaś, co mogłaś, by mnie zniechęcić.

- Nie swoim sumieniem się martwię, lecz twoim spokojem - odparła. I moim, dodała w duchu. Ciekawa była, kiedy Belinda da pierwszy znak. - Kolacja za pięć minut.

Slater z niedowierzaniem pokręcił głową. Tym samym ostatecznie przypieczętował swój los. Zasłużył na wszystkie figle Belindy.

- Rozgość się w jadalni. Casey będzie o ciebie dbała. A jeśli będziesz miał ochotę, później oprowadzę cię po hotelu i okolicy. Czy cię to interesuje, czy nie, zainwestowałeś przecież w to niezłą sumkę - dodała.

Miała nadzieję, że do tej pory uda jej się opanować to dziwne, młodzieńcze bicie serca.

A później da popalić J.D. Hazzardowi za to, że zrobił ją w tę sytuację - oczywiście zakładając, że ośmieli się jeszcze tu pokazać.

Siedząc przy narożnym stoliku, Colin Slater krytycznym okiem przyglądał się jadalni. Zbił majątek na renowacji i remontach budynków, które ludzie o mniejszej wyobraźni i gorszej znajomości budowlanego fachu uznawali za bezpowrotnie stracone. Nie raz widywał szkody, jakie poczynić może przemarzanie murów, ale nigdy nie były one tak ogromne, jak w tym hotelu. Jego praca polegała na robieniu pieniędzy, a tu nie było na to szans. Biorąc pod uwagę trudny dostęp do hotelu, był pewien, że koszty ewentualnej renowacji nigdy się nie zwróca.

Ze smutkiem przyznał, że utrzymanie tego miejsca wyciągnie z kieszeni Scarlett Morgan wszystkie pieniądze. Przypomniawszy sobie, że to nie jego sprawa, i dalej przyglądał się jadalni.

Choć było lato, a lipiec w północnej Minnesocie jest zawsze upalny, setki zim z temperaturą poniżej zera sprawiły, że grunt pod budynkiem wybrzuszył się i podłoga w jadalni była w kilku miejscach wypaczona. Obsługiwanie gości i poruszanie się po wytartym i pofałdowanym niebieskim dywanie wymagało znakomitej równowagi i kondycji.

Slater z podziwem przyglądał się Casey, która zwinnie i z gracją uwijała się między stolikami. Napełniała wodą szklanki, układała w koszyczkach pieczywo, poprawiała nakrycia. Najwidoczniej dobrze *znała* wszystkie nierówności podłogi. Scarlett równie zręcznie poruszała się po tym niebezpiecznym terenie.

Slater udawał sam przed sobą, że to wyłącznie jej zwinność przyciąga jego uwagę. Był wyraźnie nią zauroczony.

Muskając palcem oszronioną szklanekę, zastanawiał się,

dlaczego. Przecież nie dlatego, że jest piękna. Nowy Jork jest pełen pięknych kobiet.

Była w niej jakaś tajemniczość. Dlaczego jest tu sama? Dlaczego nie ma w jej życiu żadnego mężczyzny? Co skłoniło ją do ucieczki na to odludzie, do mozolnej codziennej walki o utrzymanie tego zabytku w stanie jakiejś takiej używalności? Dlaczego tak zdecydowanie walczy przeciwko zbudowaniu w okolicy nowoczesnego osiedla?

Jeszcze przed kupnem losu rozmawiał z J.D. na ten temat.

- Twierdzisz, że jest przeciwna temu projektowi? Chyba w ogóle nie ma głowy do interesów. Takie osiedla przyciągają ludzi. A ludzie to pieniądze. I popularność. Także dla jej hotelu.

- Jej bardziej zależy na nieskażonej naturze - wyjaśnił mu J.D. - Rozumiem jej motyw. Niewiele już w naszym kraju takich dziewiczych lasów.

- Z handlowego punktu widzenia to błąd - obstawał przy swoim Colin, lecz mimo to kupił los. Skoro wpłaca datki na ochronę wielorybów, równie dobrze może pomóc jakiejś kobiecie w próbie ocalenia kawałka terenu.

Nie miał zamiaru w nic się angażować. Ale teraz, przyglądając się przedkolacyjnej krzątaninie, zaczynał trochę żałować. Motywy Scarlett były niewątpliwie szlachetne, ale wyraźnie brakowało jej nie tylko pieniędzy, ale i siły. Pracowała bardzo ciężko i zajmując się gośćmi, zapomniała o sobie i swoich własnych potrzebach. Ktoś powinien za nią o nich pomyśleć. On sam, patrząc na nią, przypomniał sobie o swoich.

Poprawił się na krześle, założył nogę na nogę i zastanawiał się, dlaczego. Nigdy nie bał się kobiet. Nie był też

przeciwnikiem monogamii. Przykład wielu przyjaciół, łącznie z J.D., uświadamiał mu jasno, że instytucja małżeństwa ma się dobrze. Jego rodzice, żyjący ze sobą szczęśliwie od czterdziestu lat, byli tego znakomitym dowodem. Problem polegał na tym, że nie spotkał jeszcze kobiety, która byłaby równie ekscytująca i pociągająca jak jego praca. Zaczynał już wątpić, czy kiedykolwiek się to stanie.

Mimo że Scarlett Morgan była przyjemną niespodzianką i zaczął nawet rozważać bliższą, choć tylko chwilową z nią znajomość, wiedział, że się na to nie zdobędzie. Słowo „chwilowa” było tutaj kluczowe, a w tej sytuacji nie wchodziło w rachubę. Nie z nią. Była stworzona do roli żony i matki.

Slater rozsiadł się wygodnie, przerzucił rękę przez oparcie i żałował nie spełnionego marzenia. Scarlett Morgan była poza jego zasięgiem. Nigdy nie zrozumie, że on może sobie pozwolić tylko na przelotne romanse. Że dla niego najważniejsze są interesy.

Interesy. Slater znów rozejrzał się po jadalni. To właśnie interesy go tutaj przywiodły. Jego rodzina i przyjaciele uznali, że od swoich interesów powinien odpocząć, a Scarlett z kolei zdecydowała się na tę loterię, by pomóc swoim.

Szybko obliczył w pamięci. W sali, która mogła pomieścić co najmniej sześćdziesiąt osób, było ich zaledwie piętnaście. Nic dziwnego, że Scarlett ma kłopoty finansowe. W szczyt sezonu ma zajętą ledwo połowę pokoi.

Slater uważnie przyjrzał się gościom. Przy sąsiednim stoliku kilku wędkarzy zajadało proste, lecz wyborne dania Scarlett, ze śmiechem chwając się połowowymi sukcesami.

Dalej siedziało sześć kobiet, chyba po czterdziestce. Wyglądały trochę dziwnie w miejscu odpowiadającym raczej

wędkarzom i rodzinom, ale i one paplały ze śmiechem, całkowicie pochłonięte jedzeniem i rozmową.

Przy ostatnim stole siedział ojciec z trzema nastoletnimi synami. Colin niechętny podsłuchiwał fragment ich rozmowy. Nazajutrz wybierali się do Kanady, by przez-kilka dni popływać kajakiem po tamtejszych rzekach, więc gości w hotelu będzie jeszcze mniej.

Slater spojrział na Scarlett. Podziwił właśnie szczupłość jej bioder skrytych pod starymi džinsami, kiedy na jego stolik padł jakiś cień.

Podniósł wzrok i ujrzał starą, pomarszczoną twarz o bezzębnych ustach.

- To ty jesteś ten od forsy, co?

Głos staruszka był równie słaby jak on sam.

- Colin Slater - przedstawił się Colin i wyciągnął rękę, kiedy tamten bez pytania usiadł przy jego stole.

Stary przez chwilę przyglądał mu się z zaciśniętymi ustami, po czym podał mu swą chudą, żyłastą dłoń.

- No więc czego tu szukasz? - rzekł, zsuwając z czoła sfatygowaną czapkę ze spłowiałym czerwonym napisem „Purpurowy Wodospad”.

ROZDZIAŁ TRZECI

- Gizer.

Zanim Colin zdążył odpowiedzieć, przy stoliku stanęła Scarlett i ostrzegawczym tonem zwróciła się do staruszka:

- Pilnuj swoich spraw. Nie przesłuchuj pana Slatera.
- Jeśli się jeszcze nie przedstawił, to wiedz, że jest to Gizer Jennings - wyjaśniła Colinowi. - Gizer to moja prawa ręka
- dodała ciepło. - Złota rączka, przystaniowy, barman i co tylko chcesz.

Kiedy Gizer obrzucił go spojrzeniem posiadacza, Colin dodał do tej listy jeszcze samozwańczego obrońcę.

- Właśnie się poznawaliśmy.

- To dobrze - powiedziała z uśmiechem Scarlett, a potem zwróciła się do Gizera: - Bądź grzeczny. - Położyła mu rękę na ramieniu, by złagodzić ostrzeżenie, i pobiegła z powrotem do gości.

Ż Gizer zacisnął swe cienkie wargi i obrzucił Colina gniewnym spojrzeniem. Było to dla Slatera coś zupełnie nowego, lecz bynajmniej nie irytującego. Do tej pory ludzie zawsze mówili mu to, co uważali, że chciałby usłyszeć, a nie co naprawdę czuli.

Spodobała mu się szczerłość Gizera i wcale go nie onieśmieliła.

- Słyszałeś, co ci powiedziano - przypomniał staremu.

Zmrużył oczy, by ukryć swe rozbawienie. - Masz być dla mnie grzeczny.

Gizer prychnął złowieszczo. Gdyby nie znajdowali się w jadalni Scarlett, pewnie splunąłby na podłogę.

- Mam przede wszystkim uważać na takich, co chciałyby zrobić krzywdę tej dobrej, miłej kobiecie.

- A więc możesz być spokojny - zapewnił go Colin.
- To ostatnia rzecz, jaka by mi przyszła do głowy. Przyjechałem tu tylko na krótkie wakacje.

Gizer wyraźnie mu nie wierzył. Colin podziwiał jego oddanie i lojalność, ale zastanawiał się też, czy Scarlett płaci mu pensję. Jeśli tak, to nic dziwnego, że jest taka zmęczona. Pewnie i za niego musi pracować. Wcale go to nie zdziwiło. Od początku zauważył, że to taka kobieta, do której lgną różni nieudacznicy i wyrzutki.

- Będę cię obserwował - oznajmił nagle bardzo poważnie Gizer.

- Nie wątpię - odparł Colin z szacunkiem, na który starsuszek bez wątpienia zasługiwał.

Kiedy Gizer wstał, Colin zrobił to samo. Gizer mruknął coś pod nosem o „miejskich manierach” i wolno wyszedł z jadalni.

Natychmiast przy stoliku Golina zjawiła się tym razem Casey.

- On jest nieszkodliwy - zapewniła go. - Mama mówi, że kiedy chce pokazać komuś, że mu na nas i hotelu zależy, zachowuje się jak stary niedźwiedź zaznaczający swoje terytorium. Więc niech pan, broń Boże, nie bierze tego, co mówi, na serio.

Colinowi podobała się ta szczerą, wesoła dziewczynka. Nie zniechęciła go nawet jej opowieść o Belindzie.

Kiedy znów został sam, spojrzął na moment na sąsiedni stolik. Gdy kobiety zauważyły, że na nie patrzy, wybuchnęły zachęcającym śmiechem, a jedna z nich nawet do niego pomachała.

Colin odpowiedział lekkim uśmiechem i zaraz skupił swą uwagę na jedzeniu.

- Podobasz im się.

Tym razem przy jego stoliku pojawiła się Scarlett, z dzbankiem kawy w ręku.

- Chyba wypłył za dużo winą - odparł.

- To także-uśmiechnęła się Scarlett -Ale są wyraźnie pod wrażeniem. Dopiero teraz uznają swoje wakacje za udane. Ale nie bój się. To głównie mężatki, więc jesteś Stosunkowo bezpieczny. To tylko zaloty.

- Niezłą grupkę tworzą ci twoi goście - zauważył.

- To bardzo mili ludzie.

- Wszyscy piętnastoro - uściślił i natychmiast tego pożałował.

Z jej oczu zniknęło rozbawienie.

- Tak. Ale mam zamiar wkrótce wiele zmienić.

Chciał zapytać jak, ale nie odważył się. Mogła to uznać za wtrącanie się.

- Na pewno - rzekł zamiast tego i pochwalił jej jedzenie.

- To, oczywiście, nie Marriott - odparła, a w jej głosie wyraźnie brzmiała duma - ale można zaspokoić głód. I to bez niestrawności.

- Mnie wszystko smakowało. A ciasto było zupełnie takie, jakie piecze mój brat.

- Twój brat? To miał być komplement?

- Oj, pani Morgan. Czyżbym miał do czynienia z uprzedzeniami do przeciwnej płci?

Policzki Scarlett lekko się zarumieniły.

- Przepraszam. Coś takiego nigdy nie wpadło mi do głowy. Nie chciałam urazić twego brata. Na pewno piecze znakomite ciasta.

- Prawie tak dobre jak twoje.

Scarlett uśmiechnęła się ciepło i serdecznie.

- Za jakąś godzinę będę wolna. Miałyś wtedy ochotę na zwiedzanie hotelu i okolicy?

- Jasne, czemu nie.

- Dobrze. Jak skończysz, zaczekaj na mnie na werandzie. Będzie ci chłodniej, a kawę możesz wziąć ze sobą. Chyba że wolisz zajrzeć do baru. Gizer na pewno cię czymś poczęstuje.

- Nie wątpię. Ale z tym chyba poczekam.

- No to do zobaczenia.

- Na razie.

Ledwo odeszła, zrozumiał, jak bardzo będzie mu się dłużyła ta godzina.

Czterdzieści pięć minut później Scarlett siedziała w swoim pokoju i przyglądała się sobie w lustrze. Chętnie ukryłaby się gdzieś w piwnicy. Nawet ocalała z katastrofy kolejowej wyglądałaby lepiej.

Już w południe była tak spocona, że jej francuski warokcz przypominał wiecheć. Uganiała się za szczeniętami, które przyniosła do domu córka. Dwa razy szukała ich w ogrodzie, potem w hangarze, a po południu wyciągała je spod werandy.

Nagle poczuła się zupełnie nieatrakcyjna, w starych, spłowiałych dżinsach, różowej bluzce, pamiętającej lepsze dni, i znoszonych tenisówkach podobna do wiejskiej dzie-

wuchy. Szybko jednak otrząsnęła się z tego nastroju. Nie ma się czego wstydzić. Ciężko pracuje i jest z tego dumna. To, że nie ma czasu na babskie strojenie się, nie znaczy, że nie jest kobieca. Zresztą wcale jej nie zależy, by Slater tak o niej myślał.

Zła na siebie, gwałtownym ruchem rozplotła warkocz i poszła wziąć prysznic. Później ponownie zaplotła włosy, włożyła granatowe szorty i biały podkoszulek, umalowała oczy i zaraz je umyła.

- Zazwyczaj się nie malujesz - mruzczała pod nosem, schodząc na parter. - Nie ma więc powodu, by robić to dzisiaj.

A jednak, kiedy wyszła na werandę, natychmiast pożalowała tamtej decyzji.

Czekał tam na nią Colin Slater. Nie siedział, lecz, jak się spodziewała, stał oparty o balustradę. Z rękami w kieszeniach, niespokojnie przestępował z nogi na nogę i podziwiał widok.

Wyglądał cudownie. Rysy miał ostre i wyraźne, a także gęste i lśniące włosy.

Wcale jej się nie podobało, że tak się nim zachwyca, ale nie wiedziała, jak sobie z tym poradzić. Może najlepiej po prostu to zignorować. Jak katar, który i tak po tygodniu zniknie. Bo przecież Colin Slater po dwóch tygodniach wróci do Nowego Jorku.

Postanowiła więc przyjąć jego słowa za dobrą monetę. Jej hotel w ogóle go nie interesuje. A ponieważ tego głównie się obawiała, przestała się niepokoić.

Mimo bogactwa, wydawał się sympatyczny. Nie był nadęty, a kiedy się odprężył, często się uśmiechał. Swoim stosunkiem do Gizera zdobył u niej dodatkowe punkty. Tak

więc, jeśli tylko uda jej się uporać z tym głupim zauroczeniem, co nie powinno być trudne, bo nie ma przecież szesnastu lat, te dwa tygodnie mogą być zupełnie przyjemne.

Scarlett, nieco już spokojniejsza, też podeszła do balustrady. Choć Colin na pewno słyszał jej kroki, nie odwrócił się. W milczeniu podziwiał rozciągający się przed nim widok. Scarlett rozumiała jego zaabsorbowanie. Jej też ten obraz nigdy nie nudził.

- Niesamowity, prawda? - powiedziała w końcu prawie szeptem, nie odrywając wzroku od wodospadu.

Slater skinął głową.

- Dlaczego ta woda jest taka czerwona? - spytał.

- Zależy w którą wersję uwierzysz. Jeśli w legendę, to mówi ona, że skała za wodospadem zabarwiona jest krwią tych, którzy szukali tam szczęścia. Podobno Indianie Chipewa próbowali pokonać go swymi czółnami. Potem to samo robili drwale na wielkich, drewnianych łodziach. Nikomu się to nie udało. Wszyscy zginęli i tylko ślady krwi świadczą o ich odwadze. Jest jeszcze wyjaśnienie naukowe - dodała, widząc zwątpienie na jego twarzy. - W tych skałach jest żelazo. Kiedy rozpryskuje się o nie woda, drobinki żelaza lśnią w słońcu purpurowo.

- To bardzo ciekawe.

- Owszem - przyznała cicho. - Kiedy zobaczyłam to po raz pierwszy, myślałam, że to cud.

- A kiedy to było?

Scarlett uśmiechnęła się na to wspomnienie.

- Miałam wtedy zaledwie dziesięć lat. Mój tata był zapalonym wędkarzem. Co roku raszaliśmy na północ i spędzaliśmy tydzień czy dwa gdzieś na granicznych wodach.

- Tylko we dwoje?

- Tak. - Scarlett znów się uśmiechnęła. - Mama dobrze czuła się jedynie w mieście. Nie znosiła komarów i spartańskich warunków życia. Ja zaś to uwielbiałam. Byłam urodzonym włóczęgą. Kiedy tata odkrył Purpurowy Wodospad, oboje się w nim zakochaliśmy. Nie tylko w hotelu, ale także w okolicy i w jeziorze. I, oczywiście w wodospadzie. Od tamtej pory przyjeżdżaliśmy tu co roku.

Colin nie podziwiał już przyrody. Przyglądał się Scarlett, a ona to wyczuła.

- Jak do tego doszło, że kupiłaś ten hotel?

- O, to całkiem inna historia. Na pewno chcesz ją usłyszeć? Jest jeszcze nudniejsza niż poprzednia.

Slater wygodniej oparł się o balustradę. Cały zamienił się w słuch.

O dziwo, Scarlett zaczęła czuć się w jego obecności zupełnie swobodnie.

- Mówiąc krótko, kiedy rozwiodłam się z ojcem Casey, uznałam, że przyda mi się zmiana stylu życia. Zawsze mieszkałam w mieście, konkretnie w St. Paul, ale nigdy nie zapomniałam o Purpurowym Wodospadzie. Przywiozłam tu Casey na jakiś weekend i okazało się, że hotel jest na sprzedaż. Uznałam to za przeznaczenie. Zrezygnowałam z pracy, w której zresztą nie miałam żadnych perspektyw, wzięłam moją część z podziału majątku i wpłaciłam pierwszą ratę. To było sześć lat temu.

- Sześć trudnych lat temu - domyślił się Slater.

Miał rację.

- Tak - przyznała. - Z załatwieniem pewnych spraw nie było mi łatwo. I pewnie tak zostanie.

- To co cię tu trzyma?

W jego pytaniu było coś więcej niż tylko zwykła ciekawość. Postanowiła mu wyjaśnić, choć była pewna, że człowiek taki jak on nigdy w pełni nie zrozumie jej motywów.

- To samo, co mnie tu przywiodło. I jeszcze więcej. Hotel. Ta ziemia. Tutejsi ludzie. Sposób życia, który cenię, a którego nigdzie indziej nie doświadczę.

Slater milczał przez dłuższą chwilę.

- Co konkretnie w tym... sposobie życia cenisz? Odsobnienie? Ciężką pracę? Niewielką nagrodę za twoje wysiłki? Uśmiechasz się. Czemu?

- To zabawne, jak różnie ludzie mogą postrzegać te same okoliczności. - Scarlett podeszła do schodów, objęła ramieniem kolumnę werandy i oparła się o nią. - Ty zauważasz tylko ciężką pracę bez profitów. Dla mnie to uczciwa praca, a gdyby jedyną nagrodą miało być oglądanie tego widoku każdego ranka i wieczora, zupełnie by mnie to zadowoliło.

- Tu jest tak... cicho - zauważył po chwili Slater.

- W twoich ustach brzmi to... złowieszczo - odrzekła Scarlett. - Z początku jest to może trochę deprymujące, ale potem można się przyzwyczaić. A nawet pokochać.

Slater spojrzął na nią z powątpiewaniem.

- Niech ci będzie - roześmiała się Scarlett, wiedząc, że nie uda jej się go przekonać, jeżeli sam nie będzie tego chciał. — Mogłabym cię przekonywać przez całą noc, ale chyba nic z tego nie będzie. Zaczynajmy naszą wycieczkę.

Wycieczka polegała na spacerze dokoła hotelu. Scarlett zwróciła mu uwagę na świeżo odmalowany hangar. Colin

zauważył popękane fundamenty. Ona zachwalała nowe pokrycie dachu, on widział głównie zniszczone okiennice i przerdzewiałe rynny.

Były jednak dwie rzeczy, którymi Colin się zachwycił - surowe piękno tej ziemi i rośliny zasadzone ręką Scarlett. Wszędzie - wśród kamieni, mchu i sosen - jakimś cudem rosły kwiaty: begonie, geranium, lwie paszcze, mieczyki. Ożywiały ogród kolorem i zapachem, wypełniały wiszące na werandzie kosze i donice.

Kwiaty nie były jej jedyną słabością, jak to określiła. Powodem do dumy był najwyraźniej także ogródek zielarski i warzywniak otoczony drucianą siatką, taką samą, jaką zauważył przez drzwi kuchenne.

Kiedy wracali do hotelu, nie mógł już powstrzymać ciekawości.

- Po co jest ten płot? - spytał.

- Nie dotykaj - ostrzegła, widząc, że Colin podchodzi bliżej. - Jest pod napięciem.

- Pod napięciem?

- Tak - skinęła głową Scarlett. - Tego lata mieliśmy kłopoty z niedźwiedziami.

- Z... z niedźwiedziami?

Scarlett parsknęła śmiechem.

- Tak. Z niedźwiedziami. Z czarnymi. Pełno ich tu wszędzie. W dodatku są natrętne jak żebracy. Szczególnie tego lata. Wiosna była sucha, więc w lasach niewiele jest jagód. Co najmniej raz w tygodniu cała ich banda pcha się do kuchni, by połasuchować.

- Żartujesz.

- Niestety, nie. Kilka lat temu niedźwiedzica z małymi rozbiła szybę w drzwiach, wślzła do środka, zjadła pięć

świeżo upieczonych placków z owocami i zdemolowała kuchnię.

Rozbawiło ją to wspomnienie, podobnie jak wyraźne przerażenie na twarzy Colina.

- Nie bój się. Przez tę siatkę nie przejdą. Jak się na nią nadzieją, przestraszą się i uciekną. Nie chodź jednak po lesie o zmroku. Czarne niedźwiedzie są stosunkowo niegroźne, ale zaskoczone, reagują jak ludzie. A wierz mi, że ważą nawet trzysta kilo i wcale nie przypominają Kubusia Puchatka.

- Niedźwiedzie... — pokręcił głową Colin. - A więc takie jest twoje towarzystwo.

- I duch - przypomniała mu z uśmiechem.

Nagle zza węgła wyszła Casey w towarzystwie dwóch toczących się za nią tłuściutkich szczeniactków niewiadomej rasy.

- Casey... - zaczęła ostrzegawczo Scarlett.

- Wiem. Mam je trzymać z daleka od ogrodu. Dobrze. Idziemy na przystań na lekcję aportowania.

Cała trójka, posapując i popiskując, zniknęła równie szybko, jak się pojawiła.

- Żeby człowiek miał tyle energii - westchnęła Scarlett.

Colin nie po raz pierwszy zauważył, jak bardzo jest zmęczona. Na pewno nigdy by się do tego nie przyznała, ale takie życie po prostu ją wykańcza.

Nie była to jego sprawa, więc nic nie powiedział. W milczeniu wszedł za nią do środka. Poprowadziła go przez bogato umeblowany antykami hol, potem schodami na piętro. Minęła pokój Belindy i otworzyła drzwi do pokoju Annabelle.

- Na pewno nie zmienisz zdania? - spróbowała jeszcze raz z nadzieją.

- To ładny pokój, ale wolę ten, w którym zamieszkałem.

Obrzuciła go uważnym spojrzeniem, ale nie naciskała. Pokazywała mu dalsze pokoje.

- Jak widzisz, podobnie jak z tymi dębowymi stołami w jadalni, w pokojach gościnnych też starałam się zachować umeblowanie z epoki. Żelazne, kute łóżka, umywalki z miednicami i dzbankami, dębowe kredensy. Chcę, by moi goście przebywali w takim samym otoczeniu, jak tamci handlarze futrami i drwale, dla których hotel zbudowano.

Colin musiał przyznać, że wnętrza mogły wzbudzić odrobinę tęsknoty za tamtymi odległymi czasami. Wiszące w jadalni i holu stare fotografie pokazywały, jak niewiele się tu zmieniło. Colin był w stanie zrozumieć, czemu ludzie przyjeżdżali tu na tydzień czy dwa podczas letnich wakacji. Nie mógł jednak pojąć, jak można ignorować zdobycze nauki i miejskie ułatwienia i wybrać życie na takim odludziu.

Nie były to jedyne sprawy, które go niepokoiły.

- Czekając na ciebie po kolacji, przejrzałem kilka twoich broszur reklamowych. We wszystkich pojawia się to samo określenie: „Żadna droga nie prowadzi do Purpurowego Wodospadu” - rzekł.

- To prawda. Można się tu dostać tylko albo łódką, albo samolotem.

- To jak się zaopatrujecie? Skąd macie prąd?

- Zaopatrzenie przypływa łodzią lub przywożą je samolotem. Prądu dostarcza nam nasz własny generator.

A po wyłączeniu świateł o dziesiątej wieczorem, z oszczędności dostarczamy energię elektryczną tylko do kuchni. Dlatego w każdym pokoju jest lampa naftowa.

Jeszcze jedna sprawa go niepokoiła.

- A co ze szkołą Casey?

- No, z tym są czasem trudności - przyznała Scarlett, prowadząc go teraz w kierunku swych prywatnych pokoi.

- Najbliższa szkoła jest w Bordertown, sześćdziesiąt kilometrów na północny zachód - mówiła, otwierając niewielkie drzwiczki, za którymi wiodły w górę wąskie schody.

- Jesienią i wiosną jeździmy leśną drogą do cieśniny Vermilion. Jezioro ma tam około sześciu metrów szerokości. Przepływamy je łodzią, a potem znów jedziemy autem. Albo czasami wiozę ją do naszych przyjaciół, Abla i Mackenzie Greene'ów, a stamtąd dowożą ją już do szkoły oni, razem z bratem Mackenzie, Markiem.

- Tak samo robicie zimą?

Na szczycie schodów Scarlett próbowała otworzyć kolejne drzwi. Kiedy nie dała sobie z tym rady, odsunęła się, pozwalając, by pomógł jej Colin.

- Od połowy grudnia do połowy kwietnia - mówiła dalej - jezioro jest zupełnie zamrożone. Wtedy albo przejeżdżamy je autem, albo skuterem śnieżnym. W złą pogodę, albo kiedy jezioro jest zbyt chropowate, Casey komunikuje się ze szkołą przez krótkofalówkę.

- Bardzo pomysłowe rozwiązanie - mruknął Colin. Udało mu się otworzyć drzwi, odsunął się więc, by puścić Scarlett.

Poczuł delikatny aromat kwiatów. Bardzo kobiecy i bardzo egzotyczny. Podobnie jak lekkie muśnięcie jej ramienia, kiedy go mijała.

Był tak blisko niej, że widział złocistomiedziany meszek na jej karku. Wciąż wilgotny po prysznicu, wiał się delikatną mgiełką pod warkoczem. Colin nagle wyobraził sobie, jak odgarnia jej włosy i pieści to tajemnicze, zmysłowe miejsce... i wiele innych.

- To dobre określenie - dotarł do niego jej głos. - Żyjąc tu, jesteśmy zmuszone do realizmu.

Wzięła jego milczenie za niedowierzanie, podczas gdy on wciąż walczył ze sobą, by nie chwycić jej w ramiona i nie całować, aż oboje zapomną o całym świecie.

- Nie uważasz tego za zaletę, co?

Miał ją wyraźnie przed oczami. Nagą. Spragnioną. Leżącą pod nim.

- Uważam, że to bardzo kłopotliwe - wyjąkał z trudem.

Kiedy uśmiechnęła się, zrobiło się jeszcze gorzej.

- Ja cenię sobie taką zależność tylko od siebie. Uważam, że w dzisiejszych czasach ludziom wszystko zbyt łatwo przychodzi. Żyjąc tutaj, uczę się cenić to, co mam. To także dobre dla Casey. Ma silne poczucie własnej wartości.

- To miłe dziecko - powiedział Colin.

Próbował skoncentrować się na obrazie słodkiej, dziecinnej buzi Casey, by zapomnieć o twarzy jej matki.

- Czy nie masz wrażenia, że czegoś ją pozbawiasz? - spytał.

- Pozbawiam? - szczerze zdziwiła się Scarlett. - Spotyka tu wielu interesujących ludzi. Jest kochana, umie się bawić i cieszyć. Jest szóstkową uczennicą. Czy tak wygląda dziecko czegoś pozbawione?

Musiał, przynajmniej częściowo, przyznać jej rację. Ca-

sey na pewno nie jest rozpieszczona, lubi się bawić, ale nie zapomina o odpowiedzialności. Widział, jak przy kolacji ciężko pracowała. Niewątpliwie jest dla Scarlett ogromną i niezastąpioną pomocą.

- Nie, rzeczywiście - przyznał. - Widać, że bardzo dobrze ją wychowujesz.

Ich ramiona znów na moment się zetknęły. W słabym świetle wąskiego korytarza zauważył, że Scarlett się zarumieniła. Dopiero wtedy uświadomił sobie, że i ona w szczególny sposób reaguje na jego obecność.

Miała taki sam problem. A niech to. Z tą świadomością było mu jeszcze trudniej.

Kiedy weszła na podest i otworzyła drzwi na taras, Colin odetchnął głęboko. Z ulgą, ale i z rozczarowaniem.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Colin zmusił się, by podejść do balustrady i spojrzeć na jezioro i Purpurowy Wodospad. Skoncentrował się na podziwianiu widoku. Powoli zaczynał rozumieć, dlaczego Scarlett tak bardzo kocha to miejsce.

W świetle wieczoru trawa połyskiwała srebrzyście, sosny i świerki zdawały się granatowe, jezioro migotało metalicznie, a wodospad, purpurowy z białymi smugami, dopełniał tego pocztówkowego obrazu.

Tylko stojąca obok niego kobieta zakłócała spokój. Jego spokój. Spokój jego ciała i umysłu. A jej pogoda ducha i łagodne usposobienie jedynie wzmagają ten niepokój.

Czy to możliwe, że jest taka nieskomplikowana? Tak niewinna? Jej profil był zdecydowany i tak wyraźny, jak wartości, które ceniła. W tym świetle jej włosy zdawały się bardziej blond niż rude. Nie po raz pierwszy zauważył, że je powtórnie zaplotła. Nie po raz pierwszy zastanawiał się, czy zrobiła to dla niego.

Myśl ta spodobała mu się, ale i zaniepokoiła go. Uznała ją za bezsensowną, za taką, jaka w ogóle nie powinna mu wpaść do głowy.

Spojrzała na niego akurat w chwili, kiedy w końcu, z dużym trudem, udało mu się oderwać od niej wzrok i skierować go na jezioro.

- Nie ty pierwszy zaniemówiłeś na ten widok.

Nie powiedziałaaby tego takim wesołym tonem, gdyby wiedziała, że to ona, a nie przyroda, tak go zahipnotyzowała. Ciekawiło go, jakim facetem był jej mąż, że mógł ją zostawić.

- Czasami, przychodząc tutaj, wyobrażam sobie tę zatokę w chwilach jej świetności. Zatłoczoną setkami łodzi lub zapchaną od brzegu do brzegu kłodami drzew spływającymi do tartaków w Duluth. I widzę obserwujące to wszystko z tego miejsca kobiety, czekające, aż przyjdą do nich ci mężczyźni i rozbawią je, wydadzą na nie swe pieniądze i złagodzą ich dotkliwą samotność.

Jakie to dziwne, pomyślał Colin, że w jej wypowiedzi pojawiło się słowo „samotność”. Dziwne i zaskakujące w ustach kobiety głoszącej umiłowanie właśnie samotności.

- Przepraszam cię za ten sentymentalizm. To wszystko przez ten widok. Zawsze kiedy tu jestem, zastanawiam się nad życiem tamtych kobiet i mężczyzn - szepnęła nieśmiało Scarlett. - Chodźmy dalej, zanim zrobię z siebie jeszcze większą idiotkę.

On także był idiotą, bo przez chwilę zastanawiał się, co by się stało, gdyby poddał się nagłemu pragnieniu, przyciągnął ją do siebie, pogładził palcem po policzku i zapewnił, że już nigdy nie będzie samotna.

Na szczęście dla nich obojga poddanie się temu impulsowi było równie mało prawdopodobne, jak jej przyznanie się do samotności. Nawet przed samą sobą.

Ostatni etap wycieczki zaprowadził ich do baru. I tu spodobało się Colinowi najbardziej.

To w tym pomieszczeniu, z wypaczonymi podłogami, kryształowym lustrem i mosiężną podpórką dla nóg wokół kontuaru, on z kolei najlepiej mógł sobie wyobrazić życie w tamtych dawnych czasach. Taras był terytorium kobiecych wyobrażeń, bar męskich.

Nad lustrem w złożonych ramach wisiał obowiązkowy, jaskrawy portret nagiej piękności o obfitych kształtach i kuszącym uśmiechu. W kącie stała stara, lecz wciąż jeszcze działająca pianola. Pośrodku królował olbrzymi, rozklekotany stół bilardowy. Na ścianach poprzyklejano w beztroskim nieładzie różne stare zdjęcia, plakaty i banknoty, podpisane przez dawnych gości, którzy chcieli pozostawić po sobie jakąś pamiątkę.

Był tam, oczywiście, także Gizer, kolejny zabytek. Siedział w kącie i cicho pochrapywał.

Kiedy Scarlett go zauważyła, położyła palec na ustach,

- Nie budźmy go.

- Jasne - odszepnął Colin. - Jak na jeden dzień wystarczy mi jego gróźb.

Scarlett uśmiechnęła się i stanęła za barem.

- Czego pan sobie życzy?

- Benedyktynkę z sokiem z limonek? - zaproponował zabawę.

- Przykro mi, właśnie się nam skończyła - podjęła ochoczo Scarlett. - Może być woda sodowa?

Colin wsparł się łokciem o bar

- Może.

- Nie wolałbyś raczej czegoś mocniejszego? Albo choćby jakieś piwo?

- Aco ty pijesz?

Scarlett uniosła do góry butelkę białego wina.

- Znakomity pomysł.

- No dobrze - westchnęła, napełniwszy kieliszki. - Co po tej wycieczce sądzisz o hotelu?

Colin przez chwilę zastanawiał się, co powiedzieć. Scarlett obeszła bar i usiadła na stołku obok niego. Podniosła do ust kieliszek.

- To wyjątkowe miejsce - odparł wymijająco. Próbował nie myśleć o delikatnym kryształowym kieliszku i zmysłowej kombinacji, jaką tworzył z jej pełnymi, różowymi wargami.

- Słyszę w twoim głosie obawę. Mów szczerze.

Colin znów zamilkł. Starał się znaleźć coś pozytywnego.

Fascynacja jej wargami tak go jednak zdenerwowała, że zemścił się za to, mówiąc o hotelu.

- On się rozpada, Scarlett.

Scarlett usiadła wygodniej na stołku.

- Myślisz, że tego nie wiem? Dlatego musiałam się zgodzić na tę loterię.

A, tak, loteria. Colin wsparł się oboma łokciami o bar i wypił łyk wina. To przecież ta cholerna loteria go tu ściągnęła. Z tego, co widział, wątpił, czy pieniądze, które na niej zarobiła, pokryją choćby koszty podstawowych napraw, nie mówiąc już o porządnej renowacji, którą przecież planowała.

Nie chciał jej tego uświadamiać. W każdym razie nie dzisiaj. Może nawet nigdy. Bo przecież, choć musiał sobie sam o tym ciągle przypominać, nie miał zamiaru się w cokolwiek wplątywać. Ani w sprawę jej hotelu, ani w znajomość z nią. Przyjechał tu tylko po to, żeby sprawić przyjemność przyjacielom, i wkrótce wróci do pracy. Nie ma zamiaru się o nią martwić ani pomagać jej w rozwiązywa-

niu problemów. Zresztą nawet o to nie prosiła. A on, by zachować między nimi właściwy dystans, sam tego nie zaproponuje.

- Nie wątpię jednak - zaczął, napełniając ponownie kieliszki - że dobrze wykorzystasz te pieniądze.

- Masz rację - odparła zdecydowanie. - W moich żyłach płynie odrobina szkockiej krwi. Wykorzystam te pieniądze do maksimum. A skoro już o finansach mowa. J.D. nie oświecił mnie w tej sprawie. Jak ty zarabiasz na życie?

Ledwie wypowiedziała te słowa, zbladła i zakryła twarz rękami.

- O rety, przepraszam. Sama nie wiem, skąd mi to przyszło do głowy.

Colin uśmiechnął się tylko. Spodobała mu się jej szczerść. Tak samo zresztą jak Gizera.

- Domyślam się, że pytasz z ciekawości.

- To chyba raczej przejaw złego wychowania. Zazwyczaj nie jestem taka...

- Bezpośrednia?

- Wścibska - poprawiła go. Była wyraźnie zawstydzona. - Przecież to zupełnie nie moja sprawa.

- Wcale nie, jesteś w pełni usprawiedliwiona - rzekł, chcąc ją uspokoić. - Ja też pewnie byłbym ciekawy, gdyby ktoś obcy przejął mój interes.

- Renowacja - dodał, widząc, że Scarlett nie chce dalej ciągnąć tego tematu.

Spojrzała na niego pytająco.

- Tym właśnie zarabiam na życie. Renowacją. Kupuję zniszczone nieruchomości za niską cenę, remontuję je i sprzedaję z zyskiem.

Scarlett wyglądała na zainteresowaną, ale trochę zmieszana.

- Cóż za ironia losu, co? Kupiłeś kolejną nieruchomość wymagającą renowacji.

Dopiero teraz zrozumiał jej niepewność.

- Znow wyciągasz niewłaściwe wnioski. Chyba już to sobie wyjaśniliśmy. Nie mam żadnych planów związanych z tym hotelem. Nie myślę o żadnej renowacji, sprzedaży czy czymkolwiek. Nie obraż się, ale to dla mnie żaden interes. Choć zaczynaliśmy od drobnostek, obecnie zajmujemy się wyłącznie dużymi, wielopiętrowymi budynkami o dobrej lokalizacji, takimi, które mogą zainteresować poważnych inwestorów.

Scarlett pociągnęła łyk wina. Znow zauroczył go kontrast między jej wargami a brzegiem kryształowego kieliszka oraz delikatne drganie mięśnia pod jedwabistą skórą jej szyi. Wino miało ją uspokoić, na niego zaś ten widok miał zupełnie odwrotny wpływ. Zaciśnął mocno szczękę i stopniowo rozluźnił zaciśnięte na kieliszku palce.

- Przepraszam, że znowu poruszyłam ten temat - powiedziała po chwili Scarlett. - To przez to, że Purpurowy Wodospad tyle dla mnie znaczy. Świadomość, że ktoś - nawet jeśli, na szczęście, nie jest to jakiś gruby mieszczuch - mógłby chcieć przejąć kontrolę nad czymś, co należy do mnie, jest bardzo przygnębiająca.

Bardzo przygnębiająca, powtórzył w myślach Slater. Zbyt przygnębiająca. Podejrzenie przygnębiająca. Wzbudziło to w nim całą serię nowych pytań. Na przykład: kto jest odpowiedzialny za tę jej ostrożność? Kto kiedyś w przeszłości tak dokładnie kontrolował jej życie, że teraz się tego boi? To musiał być jej były mąż.

Pijąc drugi kieliszek wina Slater uznał, że były mąż Scarlett musiał być strasznym idiotą. On sam nie był amatorem małżeństwa, ale poznał już Scarlett Morgan na tyle, by wiedzieć, że ten, który miał szczęście ją poślubić, a potem pozwolił jej odejść, był bez wątpienia największym idiotą na świecie.

- J.D. wspomniał coś o pewnej firmie i jej planach budowlanych w tej okolicy - rzekł, by przenieść swoje myśli na bezpieczniejszy grunt. - Mówił, że jesteś temu przeciwna.

- Zgadza się.

- Z punktu widzenia interesów, takie osiedle mogłoby być dla ciebie bardzo korzystne.

Kiedy obrzuciła go ostrym spojrzeniem, nie wycofał się.

Zastanów się nad tym. Takie osiedle to więcej ludzi. Większe zapotrzebowanie na usługi hotelowe. Lepsza dostępność. To wszystko oznacza większe zyski.

- Dla mnie byłby to najazd stonki. Ten teren jest wyjątkowy. Surowy i nietknięty. To dużo więcej warte niż pieniądze.

- Ciekawe, co by powiedzieli na to bankierzy.

- Oni też powinni się czasem nad czymś takim zastanowić. ...

Jak różne były ich priorytety. Dla niego najważniejszy był zawsze sukces. W jego przypadku oznaczało to robienie pieniędzy. Dużo pieniędzy. Dla niej sukces to przeżycie i ocalenie historii i tradycji. On dla żadnej z tych rzeczy nie poświęciłby ani chwili.

Byli jak ogień i woda. Już to powinno powściągnąć jego zainteresowanie Scarlett.

Niestety, stało się wprost przeciwnie.

Colin sam nie wiedział, co go bardziej zaniepokoiło. Jej wyraźne zmęczenie czy opiekuńcze uczucia, jakie w nim wzbudziła. Ku własnemu zdziwieniu zaproponował, by się już położyła.

- Najpierw muszę obudzić Gizera i dopilnować, by poszedł spać - stwierdziła.

- Ja się nim zajmę.

Albo zauważyła jego nie znoszący sprzeciwu ton, albo była zbyt zmęczona, by z nim dyskutować. Ziewnęła, zostawiła sprawę Gizera w jego rękach i życzyła mu dobrej nocy.

To było przed godziną. Kiedy Colin został sam, nalał sobie jeszcze jeden kieliszek wina i wolno go sącył. Bardzo niepokoiły go uczucia, jakie obudziła w nim ta drobna, niezależna kobieta.

Próbował sam siebie przekonać, że zainteresował się nią z nudów. Nie był przyzwyczajony do wolnego czasu i nieróbstwa. A tymczasem na najbliższe trzynaście dni jego kalendarz był pusty.

Był przecież zawsze bardzo zajęтым człowiekiem. Czy to w Nowym Jorku, czy w nawet w czasie służbowej podróży, rozpoczynał każdy dzień o piątej rano od dziesięciokilometrowego biegu na najbliższym stadionie. Pracę zaczynał o siódmej i rzadko kończył ją przed siódmą czy nawet ósmą. Później często jeszcze jadł kolację z jakimś klientem. Weekendy spędzał przy faksie albo z laptopem, przeglądając oferty.

Nie był pracoholikiem - w każdym razie on tak uważał. Owszem, pracował ciężko, ale tak właśnie lubił. Praca była jego życiem. I nie znosił, kiedy ktoś się w to wtrącał. Chciał sam decydować, ile ma pracy i czy to zdrowo, czy

nie. I dopóki nie domagał się nadgodzin także od swoich pracowników, była to wyłącznie jego sprawa.

Był z siebie zadowolony. Był produktywny. Czegóż jeszcze mógłby mężczyzna chcieć od życia?

Kobiety takiej jak Scarlett Morgan.

Ta niepożądana odpowiedź pojawiła się w jego głowie nie wiadomo skąd. By się nad tym dłużej nie zastanawiać, obudził cicho pochrapującego Gizera, pomógł mu wstać i wyprowadził go z baru.

Sam, nieprzywykły do ciszy, nieróbstwa i myślenia o czymkolwiek poza interesami, poszedł nad jezioro. Przez ponad godzinę po prostu tam stał.

Daleki, głuchy odgłos wodospadu przenikał ciszę, która z początku wydała mu się absolutna. A jednak słychać tam było dźwięki - tylko zupełnie inne niż miejskie. Lekkie fale delikatnie objęły się o brzeg. Gdzieś nad zatoką odezwał się nur, przypominając mu stary film z Henrym Fondą i Audrey Hepburn, który tak lubiła jego matka. Właściwie wszystko dokoła było idealną, od razu gotową scenografią do tamtego filmu.

Tym nocnym odgłosom towarzyszyło poczucie... poczucie czego, Slater? Nie bardzo umiał to określić. Samotności, tak, ale nie osamotnienia. Raczej... spokoju. To właśnie słowo wpadło mu do głowy i bardzo go zadziwiło.

Było dla niego całkowicie abstrakcyjne. Nigdy nie miał czasu na coś takiego.

Odetchnął głęboko, wszedł na pomost i spojrzął na jezioro. A więc to o tym ciągle opowiadał mu J.D.

- Stary, to wyjątkowe miejsce na ziemi - powtarzał przy każdej okazji. - Przyjeżdżasz tam i jakbyś zamykał

za sobą drzwi do reszty świata. Zapominasz o swoich ambicjach, o interesach, o tym, ile możesz stracić, a ile zyskać i po prostu chłonisz to wszystko.

Colinowi zawsze wydawało się to grzesznym marnowaniem czasu. Do tej chwili, przyznał szczerze. Do tej chwili, kiedy stojąc tu, doświadczył dokładnie tego uczucia, które zachwalał mu J.D.

Wdychał świeże, czyste powietrze. Czuł spowijającą go noc. Wsłuchiwał się w fale objijające się o słupy pomostu. Nad nim rozpościerało się ciemnogrnatowe, roziskrzone gwiazdami niebo.

A więc taka jest noc bez smogu i stworzonego przez człowieka światła.

A taki jest Colin Slater, kiedy nie myśli o interesach.

Zaniepokojony nagle łatwością, z jaką przeszedł od koncentracji na pracy do wypoczynku i odprężenia, wcisnął ręce w kieszenie i ruszył z powrotem do hotelu.

Było już późno. Po jedenastej. W hotelu paliło się światło tylko w jednym oknie na piętrze. Ze zdziwieniem uświadomił sobie, że to jego pokój.

Szybko przebiegł całą drogę dzielącą go od werandy. Scarlett twierdziła, że o dziesiątej wyłącza się prąd. „Dla tego w każdym pokoju jest lampa naftowa” powiedziała.

Ale lampa naftowa rac daje tyle światła. Oprócz reflektora jest tylko jedna rzecz, która pali się tak jasno - ogień.

Z bijącym sercem Colin wbiegł po schodach na werandę, gwałtownie otworzył drzwi do hotelu i przeskakując po dwa stopnie, ruszył na piętro. Kiedy dobiegł do drzwi swojego pokoju, był już przerażony. Chwycił za klamkę i natychmiast ją puścił. Była gorąca, rozpalona do białości, a spod progu wydobywała się jasna smuga światła.

Colin rozejrzał się po mrocznym korytarzu. Zauważył gaśnicę, zerwał ją z wieszaka i podbiegł z nią do drzwi. Odbezpieczył zawór, zaczerpnął tchu i pochylił się, by ramieniem staranować drzwi - kiedy te ze zgrzytem otworzyły się same.

Nie powitało go oślepiające światło. W pokoju nie płonął ogień. Nie czuć było dymu.

Golin zmarszczył brwi i ostrożnie wszedł do środka. Na małym stoliczku przed oknem płonęła lampa naftowa, oświetlając pokój miękkim, złotym blaskiem. Bardzo zapraszającym. Tak samo jak łóżko z odsłoniętą kapą.

Colin zamknął oczy, potrząsnął głową, a potem jeszcze raz rozejrzał się po pokoju. Niczego nie brakowało. Jego puste walizki stały w rogu. Lekka bryza poruszała delikatnie zasłony w otwartym oknie. Wszędzie panował spokój. Wszystko było normalne. Z wyjątkiem powietrza, które zdawało się zamykać wokół niego jak niewidzialna aksamitna rękawiczka. Przestrzeń wokół niego była jak naładowana elektrycznością, brzemienią oczekiwaniem.

Nagle kątem oka dostrzegł jakiś ruch na przeciwległej ścianie.

Wolno odwrócił się. Jak zahipnotyzowany patrzył na cień falujący i wybrzusający się na spłowiełej kwiecistej tapecie. Obserwował każdy jego ruch, zmianę wielkości, a nawet, zdawało się, materii. Nie chciał, ale musiał w to uwierzyć, bo przecież widział to na własne oczy. Cień stopniowo przybierał określoną formę i wyraźny kształt.

Stał się kobietą - zmysłową, lubieżną, tańczącą uwodzicielsko, zapraszającą.

- No i jak myślisz? - zwróciła się Casey do matki, kiedy nazajutrz rano zza uchylonych kuchennych drzwi obserwowały Colina. - Dla mnie wygląda na porządnie wstrząśniętego.

- Sama nie wiem - odparła Scarlett. - Wygląda na zakłopotanego, ale założę się, że stara sobie to wszystko racjonalnie wytłumaczyć.

- Domyślam się, że pokazała mu taniec światła i cienia.

- Od tego zazwyczaj zaczyna. - Scarlett powoli zaczęły ogarniać wyrzuty sumienia. - Chyba pójdę z nim pogadać. To straszne świństwo z mojej strony, że pozwoliłam mu zamieszkać w tym pokoju.

- Spytaj go, czy przez całą noc spał z gaśnicą. - Casey była niezwykle rozbawiona.

- Jeśli w ogóle spał.

Scarlett wzięła jedną ze świeżo upieczonych karmelowych bułeczek, położyła ją na talerzyku, dodała odrobinę masła i podeszła do stolika Colina.

Postawiła przed nim talerzyk, odsunęła sobie krzesło i usiadła.

- Dzień dobry - zagaiła cicho.

Colin oderwał wzrok od swojej filiżanki i spojrzał na jej twarz.

Widząc ciemne kręgi pod oczami i głębokie bruzdy wokół jego ust, nie musiała już pytać, czy dobrze spał.

- Zdaje się, że cię ostrzegałam - oznajmiła bez zbędnych wstępów, ale z wyraźnym współczuciem.

- Na wszystko jest jakieś wytłumaczenie - odparł zdecydowanie.

Przynajmniej nie twierdził, że nie zdarzyło się nic dziwnego. Scarlett sama nigdy osobiście nie widziała światła

płonącego w oknie, nie dotknęła rozpalonej klamki ani nie obserwowała tańczących cieni, ale od niejednego wstrząśniętego mężczyzny słyszała o tym opowieści.

- Czy sprawdzaliście ostatnio instalację elektryczną w tym pokoju? - spytał.

- Nie - przyznała Scarlett. Oferowała mu tym samym szansę wycofania się z honorem. - Najważniejszy był nowy pomost. Instalacja elektryczna jest następną pozycją na mojej liście napraw. Ale jeśli rzeczywiście coś się tam popsło, to może na razie przeniesiesz się do innego pokoju? Skoro nie podoba ci się pokój Annabelle, mam wolny inny, z pięknym widokiem na jezioro. Na pewno będziesz zadowolony.

- Dobrze mi tu, gdzie jestem - nie dał się przekonać Colin. Scarlett domyśliła się, że to ta nieustępliwość doprowadziła go w interesach na sam szczyt.

- Nie, naprawdę nie musisz tam zostawać - obstawała przy swoim Scarlett. - Nie musisz mi niczego udowadniać. Poza tym - dodała, fabrykując ad hoc kolejną wymówkę, która pozwoliłaby mu się z wdziękiem wycofać - miałam zamiar w tym miesiącu zająć się porządnie tym pokojem. Za długo już to odkładałam. Trzeba wycyklinować podłogi, pomyć okna. To co najmniej dwa tygodnie roboty.

- Skoro odkładałaś to tak długo, odłóż jeszcze do mojego wyjazdu.

Jego zdecydowane spojrzenie i upór w głosie spowodowały dwie rzeczy. Po pierwsze, Scarlett przestała mieć wyrzuty sumienia. Po drugie, wspomnienie jego nieuchronnego wyjazdu obudziło w jej sercu odrobinę żalu.

Z tym drugim było jej dużo trudniej sobie poradzić.

Przecież to bez sensu, że martwi ją jego wyjazd. Nie

powinna go nawet lubić, Przed jego przyjazdem bała się go tak samo, jak rachunków, nadchodzących na początku każdego miesiąca.

A teraz, jak jakaś pierwszy raz w życiu zakochana nastolatka, smuci się, że lada dzień ten wyjątkowy mężczyzna powie jej do widzenia.

Colin nie był jedynym, który tej nocy źle spał. Przyczyną jego bezsenności była Belinda, jej - on.

Choć wieczorem Scarlett była bardzo zmęczona, leżała długo, patrząc w sufit i myśląc o tym, że wkrótce go nie będzie. Zauroczenie to paskudna rzecz. Nie umiała nad nim panować, nie mogła mu się też poddać. Inaczej wyszłaby na idiotkę. A potem znów cierpiała.

Tak czy tak, niedobrze.

Scarlett westchnęła i wstała. Pora wracać do obowiązków. Bułeczki zostały już wyjęte z pieca, może więc odbyć codzienną przebieżkę.

Grupa wędkarzy wyruszyła o świcie na całodniową wycieczkę. Ojciec z synami pakowali łódkę i zgłoszą się na sok i bułeczki godzinę przez zniknięciem na kilka dni. Panie, które od czterech lat przyjeżdżają do Purpurowego Wodospadu na babski tydzień, na pewno nie pojawią się w jadalni przed dziewiątą. Zresztą może się nimi zająć Casey. Podobnie jak resztą ewentualnych problemów.

- Czy jest tu jakieś miejsce, gdzie można pobiegać?

Pytanie Colina zaskoczyło ją i ubawiło. Zaskoczyło, ponieważ, choć był nieźle zbudowany, nie wyglądał na biegacza. Ubawiło zaś z powodów oczywistych.

- O, kurczę, niech się zastanowię - udała zakłopotanie.

- Gdzie mogłaby pobiegać osoba, która ma do dyspozycji

świeże powietrze i słońce, około czterystu hektarów puszczy i ponad sześćdziesiąt kilometrów ścieżek?

Colin zmusił się do uśmiechu.

- To nie moja wina. Jestem z miasta. Jak nie widzę asfaltu, nie wiem, co począć.

Scarlett nie mogła się nie uśmiechnąć.

- Idź po swoje adidasy - powiedziała wbrew zdrowemu rozsądkowi. - Spotkamy się na pomoście i stamtąd cię poprowadzę. Na ile masz ochotę? Półtora kilometra? Trzy?

- Zazwyczaj przebiegam osiem.

- Niesamowite - odparła zdziwiona, ale i zadowolona.

- To przebiegniemy osiem kilometrów. Do zobaczenia za parę minut.

Colin podał jej talerzyk z karmelową bułeczką.

- Schowaj to gdzieś na później, dobrze? Po biegu dobrze mi zrobi posiłek.

Scarlett odniosła bułeczkę do kuchni i owinęła ją papierem, żeby nie wyschła.

- Jak tam nasz gość? - spytała Casey, która napełniała właśnie karafkę mieszanką soku z białych winogron i pomarańczy.

- Przypisuje to oczywiście uszkodzonej instalacji elektrycznej.

- To znaczy, że się nie przenosi?

- Tak, słodka córeczko, która tak lubisz wystawiać niedowiarłów na spotkania z Belindą. To znaczy, że się nie przenosi.

Casey aż pisnęła z radości.

- Jak długo, twoim zdaniem, wytrzyma?

- Nie wiem. Jest bardzo zdecydowany. Może jeszcze ze dwie noce.

- Jaki numer wykręci teraz nasza Belinda? Ja stawiam na łożko.

- Nie - odparła po chwili namysłu Scarlett. - Wieczorem ma padać. Będzie kawał z oknem.

- Zakład o dwudziestaka?

- Dobrze. Ale tym razem płacimy gotówką.

RS

ROZDZIAŁ PIĄTY

Ubrany w koszulkę z emblematem uniwersytetu nowojorskiego, szorty i buty, Colin ruszył na pomost, by zache-kać na Scarlett.

W połowie drogi odwrócił się i spojrzał w kierunku okna swej sypialni. Był wciąż zaintrygowany tym, co wydarzyło się tej nocy. I zdeterminowany, by jakoś to wyjaśnić. Jasne światło to mogło oczywiście być odbicie księżyca. Podobnie jak cienie na ścianie. Rozgrzana klamka była wynikiem awarii instalacji. Miedź to idealny przewodnik.

Nawet zacinające się drzwi, które tego ranka też z trudem otworzył, można wyjaśnić wiekiem i stanem ogólnym hotelu. Wszystko się w nim sypie. Trzeba będzie wziąć hebel i obstrugać trochę drzwi. To powinno załatwić problem.

Zadowolony ze swoich wniosków, ruszył dalej. Wciąż jednak niepokoił go ten sen. Był taki żywy. Taki erotyczny. Colin gotów był przysiąc, że śnił w kolorach, czuł zapachy i doznania - co mu się nigdy przedtem nie zdarzyło. W ogóle rzadko mu się cokolwiek śniło, a jeśli nawet, to rano nigdy niczego nie pamiętał.

Ten sen zapamiętał. Kobieta, która przyszła do niego tej nocy, miała na sobie czerwony strój. Było to coś jedwabnego, lśniącego, osuwającego się z ramienia, z długim rozcięciem, ukazującym nogi. Wciąż czuł dotyk jej dłoni na

swoim ciele, zapach jej perfum mieszający się z zapachem kwiatów, które przyniosła.

Była egzotyczna, wabiąca, swawolna.

To była Scarlett Morgan, przyznał niechętnie, wchodząc na pomost. A w tym śnie dzieliła z nim łóżko, ciało i duszę w parną noc pełną namiętności.

- I na śnie się skończy - mruknął i zaczął krótką rozgrzewkę.

Był tego pewien. Scarlett Morgan o rudozłotych lokach i drobnym, zmysłowym ciele, piekąca karmelowe bułeczki, w ogóle do niego nie pasowała. Na miłość boską, ta kobieta robiła przetwory warzywne. I dżem jagodowy. Brak jej było zarówno wyrafinowania, jak i gruboskórności, by mogła wplątać się w przelotny romans i nie czuć się upokorzona, kiedy się skończy - a było to przecież nieuniknione.

Wiedział, że potrafi opanować swoje libido. Podobnie jak opanował początkową *złość* na to, że wmanipulowano go w przyjazd tutaj.

Kiedy poprzedniego wieczora stał na tym pomoście, wpadło mu do głowy, że może przyjaciele mieli rację. Nadmiar pracy, bez żadnych rozrywek, sprawił, że stał się nudny i seksualnie wygłodzony. Od dawna nie miał kobiety. Postanowił rozwiązać ten problem zaraz po powrocie do Nowego Jorku. Znał tam wiele pięknych kobiet, które chciały tego samego. Seksu bez zobowiązań.

Wyjaśniwszy sobie te sprawy, Colin był teraz gotów do wyładowania w bieganiu swej długo tłumionej energii. Scarlett Morgan i jego nią zainteresowanie, seksualne czy jakiegokolwiek inne, leżały na półce z napisem: „Zakazane, nie dotykać”. Kiedy jednak odwrócił się zobaczył ją idącą

ku niemu, w czarnych szortach i sportowym staniku pod luzną, różową bluzką, natychmiast o tym zapomniał.

Podparł się pod boki i spuścił głowę. A ktoś tu mówił o zamrożonym libido. Żadna kobieta nie powinna wyglądać tak seksownie i ponętnie w stroju do biegania. Jej buty były białe i znoszone. Skarpety grube, różowe, pasujące do bluzki i opaski na włosy. I te cholerne czarne spodenki, opinające jej kobiece ciało, podkreślające każdą krągłość i każdy mięsień.

- Gotów do tańca? - spytała wesoło, poprawiając opaskę.

- Gotów - wymamrotał przez zaciśnięte zęby i wolno pobiegł za nią.

Gdyby lepiej znał to miejsce, na pewno by od niej uciekł. Mógł więc tylko liczyć na zmęczenie. Niestety, kiedy przebiegli pierwsze dwa kilometry, a ścieżka była tak wąska, że musiał biec za nią, zrozumiał, że gdyby nawet przebiegł piętnaście kilometrów, żadne zmęczenie nie ukoi jego pożądaniami.

Nagle na jakiejś polance Scarlett zatrzymała się. Colin był tak zaabsorbowany obserwacją jej nieświadomie uwodzicielskich ruchów, że omal na nią nie wpadł.

- Tutaj była nasza dawna przystań - wskazała mu przecinkę wiodącą ku jezioru. - Aż do tej wiosny nasi goście musieli chodzić piechotą te półtora kilometra do hotelu lub czekać na Gizera z dżipem. Chyba dobrze spożytkowałam zaoszczędzone pieniądze, oczyszczając brzeg i budując nową przystań bliżej hotelu.

Colin skinął tylko głową, a kiedy zaczęła biec, ruszył za nią. Ranek był chłodny, ale wkrótce oboje złani byli potem. Wilgotna bluzka oblepiała teraz ciało Scarlett jak

druga skóra. A choć Golin próbował patrzeć na ścieżkę, na drzewa lub na czasem prześwitujące jezioro, jego spojrzenie nieustannie zwracało się ku jej zgrabnemu tyłeczкови.

Wciąż też widział ją taką, jak w swoim śnie. W swym łóżku. I nagle te osiem kilometrów sam na sam z nią wydało mu się długie jak maraton.

- Jak tam? - zawołała do niego, odwracając się.

- W porządku - mruknął. - Zupełnie w porządku.

O dziwo, udało mu się wytrwać do końca. Kiedy znaleźli się znów na polance wiodącej do przystani, Scarlett była tylko lekko zadyszana.

- Jak na mieszcucha, masz zupełnie niezłą kondycję - zauważyła z uśmiechem.

- Tobie też niczego nie brakuje. Musisz biegać tak codziennie - dodał, z nadzieją, że się myli. Chyba nie wytrzyma następnych dwunastu dni. Nie potrafiłby biegać tak za nią i nie zrobić czegoś, czego oboje by potem żałowali.

- Staram się. Zależy, czy mamy duży ruch w interesie. Czasami nie mam ani chwili wolnej. W tym tygodniu jednak nie będzie z tym problemu.

Tego się właśnie obawiał.

- No, dobrze... - Scarlett wierzchem dłoni otarła czoło.

- Teraz szybki prysznic i znów do roboty.

- Ja chyba jeszcze pobiegam.

Przed wszystkim musiał jednak uciec od niej i od nowego obrazu, jaki pojawił się w jego wyobraźni. Nagiej Scarlett pod prysznicem.

- Jak chcesz. Pamiętasz, którędy biegliśmy? Mam nadzieję, że nie zabłądzisz.

- Nie błędę na Manhattanie, to i wśród tych kilku drzew dam sobie radę.

- Dobrze, ale uważaj. Tu naprawdę bardzo łatwo się zgubić.

- Tak jest, mamusiu - odparł, wiedząc, że ją tym rozbawi, a jej uśmiech był tym, czego w tej chwili potrzebował.

Pokrzepiony, odwrócił się i ruszył przed siebie wąską ścieżką.

- Na razie - rzucił przez ramię. Całą siłą woli powstrzymał się, by się nie obejrzeć.

Jakiś czas później nie czuł się już tak pewny. Ani tak przekonany, że samotny bieg to dobry pomysł.

- Kiepski z ciebie harcerz, Slater - mruknął pod nosem, po raz trzeci w ciągu godziny mijając tę samą skałę.

- Nie umiesz pływać, gubisz się w lesie. Nawet gdybyś miał krzemień, nie rozпалиłbyś ogniska i załóżę się o twoje ostatnie dywidendy, że nie odróżnisz wilczej jagody od jagody zwyczajnej.

Oprócz zażenowania, że jednak się zgubił, zaczynał odczuwać także głód. Nareszcie znalazł coś, co oderwało jego myśli od pupy Scarlett. Teraz najważniejsze miejsce w jego myślach zajęły jej karmelowe bułeczki.

Colin spojrział w niebo, na słońce przebijające się przez korony drzew. Wiedział, że z jego pozycji powinien umieć odczytać zarówno godzinę, jak i kierunek.

W takich chwilach jak ta żałował zawsze, że pewne rzeczy go w dzieciństwie ominęły. Kiedy inni chłopcy należeli do zuchów, harcerstwa i innych organizacji, on uwił się po ulicach jako gazeciarz, tragarz czy posłaniec. Robił to dla pieniędzy, jedynej rzeczy, której pragnął, a której nie mogli mu dać rodzice.

Widział, jak harują, żeby choć płacić rachunki. Widział, jak się poświęcają, żeby on i Cameron mieli pełne żołądki i coś na grzbiecie. I przysiągł sobie wtedy, że zarobi takie pieniądze, o jakich rodzicom się nawet nie śniło, i odpłaci im za to poświęcenie.

Zabrało mu to dziesięć lat, ale osiągnął wszystko, co sobie zaplanował. Jego rodzice dzielili teraz czas między luksusowe mieszkanie na Manhattanie a letni dom w Kalifornii. Kiedy Cameron skończył naukę, za którą też on zapłacił, przyjął go do firmy i podzielił się majątkiem na równych zasadach.

Tak. Miał rzeczywiście wszystko, czego chciał. Wszystko oprócz zdolności, by choć na chwilę usiąść i tym się cieszyć. Wszystko, oprócz harcerskiego doświadczenia, pomyślał ze smutkiem, przeklinając te cholerne drzewa i własną słabą orientację w terenie.

Właśnie zastanawiał się, czy nie powinien zawrócić, kiedy kątem oka zauważył jakiś ruch na ścieżce przed sobą. Stał jak wryty, kiedy cień przybrał bardziej zdecydowany kształt - nie niedźwiedzia, lecz ogromnego, wyglądającego na wygłodniałego, wilka.

Usłyszał groźne warczenie. Zanim Colin zdążył zdać sobie w pełni sprawę z niebezpieczeństwa, pojawił się przed nim kolejny prześladowca. Choć nie mniej groźny, stał na dwóch nogach, nie na czterech.

Był to ogromny mężczyzna, mający dobrze ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, ubrany w czarną koszulkę, zniszczone dzinsy, mokasyny i skórzaną opaskę, podtrzymującą jego sięgające do połowy pleców, kruczoczarne włosy. Uciszył groźne warczenie wilka delikatnym ruchem ręki.

Najpierw, oczywiście, przyszło Colinowi do głowy, że

to duchy, które pojawiły się nie wiadomo skąd. Dalsze jego myśli były już bardziej racjonalne, choć nie mniej przerażające.

Szybko ocenił własne szanse. Nie było mowy o równej walce z tym wilkiem i potężnym mężczyzną ze szramą na twarzy. Nie miał jednak zamiaru się poddać. Wychował się na nowojorskiej ulicy. Nie wie może, jak znaleźć właściwą drogę, ale zna się co nieco na samoobronie.

- Colin Slater?

Wciąż niepewny co do intencji mężczyzny, Colin nie od razu odpowiedział.

- Zgadza się - wyjąkał w końcu ostrożnie.

Mężczyzna zrobił krok w jego kierunku i... w ostatniej chwili wyciągnął ku niemu rękę.

- Spokojnie. Przychodzę w dobrych zamiarach.

Dopiero w tej chwili Colin zdał sobie sprawę, że zacisnął mocno pięści i przybrał bojową postawę. I że niewyraźny grymas ust mężczyzny jest w gruncie rzeczy uśmiechem.

- Nazywam się Abel Greene - oznajmił tonem, który w ostateczności można by uznać za przyjazny. - Jestem przyjacielem Scarlett Morgan. Wysłała mnie, żebym cię odszukał.

Colin wolno rozluźnił pięści. Jeszcze wolniej wyciągnął rękę. Uścisk dłoni Greene'a był zdecydowany, ale nie miażdżący. Colin od razu poczuł się spokojniejszy. Za to zrobiło mu się głupio.

- Przepraszam - rzekł. - To ten wilk tak mnie przeraził. Greene znowu prawie się uśmiechnął.

- Ludzie zawsze z początku tak reagują na Nashatę. Wygląda bardziej na wilka niż na psa, choć jest po połowie jednym i drugim.

- Nashata - powtórzył, szukając w pamięci Colin. - A więc to jest matka szczeniaków Casey.

- Widzę, że znasz już te małe rozrabiaki. Czekoladowy labrador J.D. jest ich ojcem.

- A więc pies Hazzarda jest takim samym łobuzem jak jego pan. Greene. Tak, teraz sobie przypominam. J.D. o tobie wspominał. Mieszkasz wraz z żoną niedaleko domku jego i Maggie, zgadza się? I czasami pomagasz Casey dostać się do szkoły.

Greene kiwnął głową, a Colin odniósł wrażenie, że ten potężny mężczyzna przez cały czas go ocenia. Kiedy zaraz potem rzekł „Scarlett jest moją przyjaciółką”, co nie miało żadnego związku z rozmową, wiedział, że się nie myli.

- To bardzo miła osoba - rzekł Colin. Choć sam nie potrafiłby powiedzieć, dlaczego, wolał nie użyć słowa „kobieta”.

Greene przez chwilę przyglądał mu się z uwagą.

- J.D. cię wrobił.

Zaskoczony trafnością wniosku Greene'a, Colin uśmiechnął się. Po raz kolejny spodobała mu się szczerłość ludzi zamieszkujących te okolice.

- Już się tego domyśliliśmy.

- On ma taki paskudny zwyczaj - dorzucił Greene. - Jeśli jednak o mnie chodzi, nie zgłaszam żadnych zażaleń.

Colin nie bardzo wiedział, jak zareagować na to stwierdzenie. Postanowił podejść do tego ostrożnie.

- Poznałeś swą żonę przez J.D.?

- Pośrednio. - Na wargach Greene'a znów pojawiło się coś na kształt uśmiechu. - Możemy wracać? Scarlett martwiła się, że się zgubiłeś.

- Głupio mi przyznać, ale ma rację. Rzeczywiście się zgubiłem.

- Wcale nie - rzekł z powagą Greene i ruszył przed siebie.

- Nie? - zdziwił się Colin, podążając za nim.

- Nie. Zachwycałeś się widokami i miałeś właśnie wracać, kiedy Nashata cię znalazła. Tak w każdym razie ja to rozumiem. Ale to ty będziesz opowiadał, więc mów, co chcesz.

- Podoba mi się twoja wersja - zgodził się Colin i w tej samej chwili przyznał, że polubił tego dziwnego człowieka.

- Dzięki - dodał zadowolony, że nie straci ponownie twarzy wobec Scarlett.

Dopiero gdy Scarlett ujrzała Abła z Nashatą i podążającego za nimi Colina, przyznała przed samą sobą, jak bardzo się niepokoiła. Odsunęła się od okna jadalni i odetchnęła z ulgą.

- A więc to tak - usłyszała za sobą głos Mackenzie.

Scarlett odwróciła się i zdziwiona spojrzała na przyjaciółkę.

- Co tak?

Mackenzie tylko się uśmiechnęła, ostrożnie wstała od stołu i podeszła do okna.

- Martwiłaś się o niego, prawda?

- Oczywiście, że się martwiłam - odparła Scarlett, starając się nadać swemu głosowi obojętne brzmienie. - Jest przecież naszym gościem. I czy mi się to podoba, czy nie, moim współnikiem. Więc to normalne, że się niepokoiłam. Nie chciałabym, żeby ktoś się zgubił w tych okolicach. To niebezpieczne.

Mackenzie patrzyła, jak jej mąż i rzeczony gość zbliżają się do hotelu. Odwróciła się i spojrzała na Scarlett.

- Nie wygląda mi na człowieka, który nie umie się sam sobą opiekować. Wręcz przeciwnie, zdaje się, że potrafiłby zająć się wszystkim, na co miałyby ochotę. Powiedz, Scarlett, zajął się już tobą?

Scarlett chciała wyśmiać to przypuszczenie, kiedy zastanowiła ją mina przyjaciółki.

- Jesteś współniczką J.D., co? - pogroziła jej palcem.

Mackenzie, drobna, delikatna, o krótkich, rudawych włosach, była wcieleniem niewinności.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- A ja jestem chińską cesarzową - prychnęła. - J.D. cię tu przysłał, prawda? Domyślił się, że go rozszyfrowaliśmy, więc, nie będąc pewien naszej reakcji, wysłał cię na przeszeptanie. Powiedz zatem temu beznadziejnie romantycznemu swatowi, że jego intryga nie wypaliła. Nie szukam mężczyzny. Colin nie szuka kobiety. I powiedz mu jeszcze, że to wstyd posługiwać się kobietą w twoim stanie.

Będąca w drugim trymestrze ciąży, Mackenzie przez chwilę przyglądała się Scarlett.

- No cóż, w każdym razie próbowałam. - Wzruszyła ramionami i wróciła do stolika. - Ale musisz przyznać - dodała, skubiąc resztki karmelowej bułeczki Scarlett - że nie był to taki zły pomysł. Colin Slater to kapitalny facet.

- I to mówi szczęśliwa mężatka w ciąży - udała oburzenie Scarlett.

- Jestem mężatką, a nie trupem - stwierdziła z wrodzoną sobie szczerością Mackenzie. - A gdybym nie była znawczynią, nie wyszłabym za najkapitałniejszego mężczyznę na świecie.

Mimo złości, Scarlett uśmiechnęła się, przypomniawszy sobie, w jakich okolicznościach Mackenzie poznała Ablę. W dzisiejszych czasach listowne zaręczyny były dla feministki czymś niewyobrażalnym, ale nie mogła zaprzeczyć, że w tym przypadku okazały się idealnym rozwiązaniem.

Od lat martwiła się żyjącym samotnie, zdziwaczałym Ablem, z radością więc przyjęła pojawienie się w jego życiu Mackenzie i jej szesnastoletniego brata, Marka. Po trudnym początku, był to wspaniały związek.

- Wybaczę ci - oznajmiła, siadając obok Mackenzie przy stole. - Twoje hormony są rozstrojone, jesteś więc wyłumaczona. Ale J.D. lepiej niech przez jakiś czas schodzi mi z drogi, bo inaczej pokroję go na kawałki i rzucę rybom na pożarcie. Ciekawe, czemu uważa, że wie, co dla mnie dobre? I jak śmiał wtrącać się w moje życie osobiste?

Mackenzie przez chwilę w zamyśleniu żuła kawałek bułki

- Może wykombinował sobie, że skoro udało mu się namówić Ablę na to ogłoszenie i wszystko poszło dobrze, to ma talent do swatania.

- Ma talent do wtrącania się w nie swoje sprawy, nic więcej.

- A więc mówisz, że Colin Slater nie wydaje ci się atrakcyjny.

Wcale tak nie mówiłam - zaoponowała Scarlett. - Ja też nie jestem trupem. Ale nie szukam mężczyzny. A nawet gdyby, to i tak Colin Slater nie znalazłby się na mojej liście. Przecież my nie mamy ze sobą nic wspólnego. To nowojorczyk. Dla niego liczy się tylko biznes. Czuje się na tym odludziu tak samo jak ja w mieście. I zupełnie nie jestem w jego typie. Zresztą o czym my w ogóle mówimy?

Obrzuciwszy przyjaciółkę tajemniczym uśmiechem, Mackenzie pociągnęła łyk herbaty.

- Nic z tego nie będzie. Możesz sobie darować to znaczące spojrzenie. Nie będzie żadnego „zobaczymy”.

- Hmm - mruknęła tylko Mackenzie.

Scarlett bąknęła coś pod nosem i w tej samej chwili usłyszała kroki wchodzących do holu mężczyzn.

- Wyglądasz ładnie - szepnęła Mackenzie. Dopiero wtedy Scarlett uświadomiła sobie, że machinalnie poprawiła włosy.

- Nie robiłam tego dla niego - prychnęła.

- Czego nie robiłaś dla kogo? - zainteresował się Abel, podchodząc wraz z Colinem do ich stolika.

- Dla... Gizera - zaimprovizowała szybko Scarlett. - Nie dla niego sprzątałam dzisiaj bar. To... to przecież nie do niego należy.

Rzuciła okiem na Colina i napotkawszy jego spojrzenie, zarumieniła się aż po uszy.

Abel przyciągnął sobie krzesło i usiadł obok Mackenzie.

- Dobrze się czujesz? - spytał tonem, który Scarlett знаła już jako zarezerwowany tylko dla żony.

- Znakomicie. Scarlett karmiła mnie, poiła i rozpieszczała.

- To moja żona, Mackenzie - zwrócił się do Colina Abel. - Mackenzie, to Colin Slater. Właśnie wracał, kiedy wpadliśmy na niego z Nashą.

- Miło mi cię poznać, Mackenzie - Colin wyciągnął rękę.

- Wzajemnie - uśmiechnęła się Mackenzie. - Mam nadzieję, że podoba ci się Purpurowy Wodospad i okolica.

Na twarzy Colina pojawiło się coś w rodzaju uśmiechu.

- Różni się... różni się z pewnością od tego, do czego przywykłem.

- Mam nadzieję, że na korzyść.

- Tak, chyba można tak powiedzieć - odparł po chwili zastanowienia. - Okolica jest piękna, Wodospad wyjątkowy. Tylko ta cisza i spokój mnie niepokoją.

- Przywykniesz - zapewniła go Mackenzie. - Możesz mi zaufać. Urodziłam się i wychowałam w Los Angeles, więc wiem, o czym mówisz. Dla mnie też było to z początku trochę niepokojące, ale teraz na pewno nic nie zmusiłoby mnie do powrotu.

- Pan Slater będzie ci musiał uwierzyć na słowo - wtrąciła się Scarlett, wstając od stołu. - Przyjechał tu tylko na dwa tygodnie, a potem wraca do Nowego Jorku.

Mackenzie spojrzała na Scarlett, potem na Colina.

- No, cóż, szkoda. Ale czy nie dobrze będzie wiedzieć, że Purpurowy Wodospad i znakomita kuchnia Scarlett są oddalone tylko o kilka godzin lotu?

Scarlett znów poczuła, że się czerwieni. Spojrzała ostrzegawczo na Mackenzie, potem zwróciła się do Colina:

- Masz teraz ochotę na swoją bułeczkę?

- Już się bałem, że nigdy mi tego nie zaproponujesz. Chyba najpierw powinienem wziąć prysznic, ale myślę o tej bułce od godziny.

- Już niosę - oznajmiła Scarlett i pognęła do kuchni.

Kiedy wróciła, wszyscy nadal siedzieli przy stoliku, spokojni i odprężeni. To niesprawiedliwe. Tak, bo jej serce wciąż gubi rytm na myśl o oczach Colina i spojrzeniu, jakim obrzucił ją, kiedy wszedł do jadalni. Jakby była myszą, a on polującym kotem.

- Gdzie Mark? - spytał Abel. Przysunął się bliżej Mackenzie, żeby zrobić miejsce dla Scarlett.

- Razem z Casey bawią się na dworze z pieskami.

- Jak sobie daje radę? - zainteresowała się Scarlett, wciąż czując na sobie wzrok Colina.

- Jest niesamowity - uśmiechnęła się z dumą Mackenzie. - Od kiedy opuścił miasto, z pomocą Abła stał się zupełnie innym chłopakiem.

Scarlett bardzo się ucieszyła. Wiedziała o przeszłości Marka, o jego związkach z jakimś gangiem, o tym, jak Mackenzie uratowała go, wywołując z Los Angeles. To dla niego odpowiedziała na ogłoszenie Abła. Była to jedna z tych historii, które przywracają wiarę w człowieka i miłość.

Ablowi i Mackenzie się udało. J.D. i Maggie także. Maggie też uciekła przed mszczącym ją związkiem w zacisze Zatoki i spotkała tam J.D., który uleczył ją swą miłością.

Teraz postanowił uszczęśliwić też Scarlett, ale bardzo się rozczaruje. Między nią a Colinem Slaterem nic nie będzie. Tylko dlaczego tak się o niego martwiła? Czemu ze smutkiem myśli o jego rychłym wyjeździe?

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- A więc wszystko idzie dobrze? - dotarł do niej głos Abła.

- Znakomicie. - Scarlett zmusiła się do uśmiechu. Próbowwała skoncentrować się na czymś innym niż jej uczucia do Colina Slatera. - A dzięki loterii mogę sobie wreszcie pozwolić na niezbędne naprawy.

- Nie muszę ci przypominać, że jestem gotów do pomocy, prawda?

- Już mi pomogłeś. Abel zbudował mój nowy pomost - wyjaśniła Colinowi. - Jest znakomitym fachowcem. Nie tylko zbudował swój własny dom, ale też projektuje i robi wiele rzeczy na zamówienie. Nie, nie musisz mi przypominać, - Uśmiechnęła się do Abła i, by rozmowa się nie skończyła, wspomniała, że Colin też pracuje w tym samym fachu.

- Mniej więcej - uściślił. - W odróżnieniu od Abła, my nie zaczynamy od zera. Zajmujemy się tylko odbudową i renowacją.

- To cudownie - ucieszyła się Mackenzie. - Scarlett bardzo się przyda taka pomoc.

Scarlett miała ochotę ją udusić. Mackenzie była jeszcze gorsza od J.D.

- Colin nie przyjechał tu, żeby pomóc w renowacji hotelu - poinformowała wszystkich. - Jest na wakacjach.

- Zresztą nawet nie zostałem poproszony o pomoc - dodał Colin, a Scarlett nie wiedziała, co znaczy jego spojrzenie.

On też nie umiałby określić, co chciał przez to powiedzieć. Kiedy przyjechał tu poprzedniego dnia, nie miał najmniejszego zamiaru dać się wplątać w problemy Scarlett. A teraz, ledwie dzień później, im dłużej obserwował jej zmagania, tym bardziej chciał jej pomóc. A poza tym musiał czymś zająć ręce, choćby tylko dlatego, by trzymać je z daleka od właścicielki hotelu.

- Zdaje się, że otrzymałaś kolejną ofertę - powiedziała Mackenzie, właściwie interpretując jego słowa. - Niegrzecznie byłoby ją odrzucić.

- Byłoby niegrzecznie narzucać się gościowi - odparła Scarlett.

- Ona ci się wcale nie narzuca, prawda, Colin? - dopytywała się Mackenzie, ignorując ostrzegawcze spojrzenie przyjaciółki. - Założę się, że aż cię ręce świerzbią, żeby coś tu zrobić.

Colin uśmiechnął się. Mackenzie Greene była równie zdeterminowana jak J.D. i robiła wszystko, by coś między nim a Scarlett się nawiązało.

Ponieważ on był równie zdeterminowany, by zachować dystans, postanowił sprawić jej przyjemność, a równocześnie zrobić coś dla Scarlett. Przynajmniej nie będzie się nudził i myślał stale o tym, jak pysznie smakowałyby ten karmel zlizywany ze skóry Scarlett zamiast z widelca z nierdzewnej stali.

- A jak już o tym mówisz - rzekł - to właśnie miałem zamiar spytać Scarlett, czy pozwoli mi trochę dla siebie popracować.

- Czy pozwoli? Oczywiście że pozwoli. Ucieszy się, że ktoś zdejmie choć trochę tego ciężaru z jej barków.

- Nie uważam Purpurowego Wodospadu za ciężar - stwierdziła przez zaciśnięte zęby Scarlett.

- Ależ oczywiście, że nie - poprawiła się szybko Mackenzie. - Chodziło mi o to, że masz tu tyle do roboty, że przyda ci się dodatkowa para rąk.

- Chyba już pora, byśmy wracali do domu - zwrócił się Abel do żony, a potem spojrzął przeproszająco na Scarlett. - Nakręca się jak katarynka i czasami nie wie, kiedy przestać.

- Naprawdę już musicie iść?

Colin zauważył, że choć protest Scarlett brzmiał szczerze, to jej ulga była aż nadto widoczna.

- Musimy - odparł zdecydowanie Abel i pomógł swej niezbyt chętnej żonie się podnieść. - Chcę dostać się na drugi brzeg, zanim zerwie się wiatr. Nie mogę ciebie ani dziecka narażać na płynięcie po wzburzonym jeziorze.

Mackenzie uśmiechnęła się czule do męża i głośno westchnęła.

- Uwielbiam, kiedy jest taki opiekuńczy.

- Mam nadzieję, że nasze dziecko nie odziedziczy po tobie niewyparzonego języka.

- Przecież mnie za to kochasz - odparła i miała rację. Widząc minę Abła, Colin od razu to zrozumiał.

Czując, że chwila jest intymna, z zakłopotaniem odwrócił głowę. Nieświadomie jego wzrok powędrował do Scarlett. Ona też nie chciała patrzeć na czułe spojrzenia przyjaciół. Najwyraźniej czuła to samo co on. Miała wrażenie, że czegoś jej brak. Tego czegoś, co łączy Abła i Mackenzie. Czego ona nigdy nie miała, a na co zasługuje.

Colin był zaskoczony. Rozumiał, że taka kobieta jak Scarlett może to czuć. Ale on? Jest przecież zupełnie zadowolony ze swego życia. Niepotrzebny mu żaden bliższy związek. A jednak siedzi tu teraz i czuje nagłą pustkę w sercu.

Scarlett na moment spojrzała mu w oczy, lecz szybko odwróciła wzrok.

- Pójdę po Marka.

W milczeniu patrzył, jak idzie przez jadalnię.

- To bardzo wyjątkowa osoba - powiedziała cicho Mackenzie.

- Tak. Rzeczywiście - zgodził się z uśmiechem Colin.

- I piękna.

Abel potrząsnął głową, delikatnie ujął żonę za ramię i poprowadził ku drzwiom.

- Dość, kobieto. - Nad głową Mackenzie posłał Coli-nowi przepaszające spojrzenie.

Tak, dość, pomyślał Colin. Dość zastanawiania się, jak wyglądałoby jego życie, gdyby dzielił je z kimś takim, jak Scarlett.

Noc była ciemna. Wiatr, którego obawiał się Abel, rzeczywiście się zerwał. Colin z rękami w kieszeniach stał na końcu pomostu. Obojętny na chłód i powiewy wiatru, rozmyślał o wydarzeniach minionego dnia.

Po poznaniu brata Mackenzie pożegnał się i poszedł wziąć prysznic. Potem, szukając czegoś do roboty, jeszcze raz spytał Scarlett, czy naprawdę nie ma nic przeciw temu, że trochę pomajstruje.

- Chciałbym zacząć od drzwi do mojego pokoju - wyjaśnił.

Z wdziękiem, ale i z rezerwą, którą starała się ukryć, Scarlett zapewniła go, że jeśli w ten właśnie sposób chce spędzać swoje wakacje, to może robić, co chce.

Co chce. Gdyby tylko wiedziała, czego pragnie.

Zheblował drzwi i przestały się zacinać. Zreperował deskę na werandzie, o którą poprzedniego dnia się potknął. Kiedy po obiedzie Scarlett wyszła z kuchni, powymieniał uszczelki w ciekących kranach.

I właśnie kiedy stał na werandzie i zastanawiał się, co jeszcze wymaga tu naprawy, otoczyła go grupka mieszkających w hotelu kobiet. Nieśmiało z początku, potem coraz śmielej i bardziej zalotnie, namówiły go na grę w karty.

Proponowały nawet rozbieranego pokera, lecz żartowały i okazały się zupełnie nieszkodliwe. Potem przenieśli się do baru, na partyjkę bilardu. Kiedy przegrał, umówili się na późniejszy rewanż i panie poszły się opalać.

Nie mając nic do roboty, Colin poszukał Gizera i pomógł mu strzyc trawnik.

I wtedy, i teraz doskonale wiedział, co robi. Ucieka. Chowa się. Przed uczuciami, jakie wzbudza w nim bliskość Scarlett Morgan.

I jakie on wzbudza w niej.

Nie potrafiła ukryć, co czuje. Nie leżało to w jej charakterze. Jej oczy mówiły wszystko. Pragnęła go. Bała się tego. Wiedziała, że to nierozsądne.

On też jej pragnął. Bał się jej pragnąć. Wiedział, że to nierozsądne.

Miał nadzieję, że uda jej się wytrwać w tym postanowieniu, bo siebie nie mógł być pewien.

- Mam nadzieję, że nie zaśniesz tu na stojąco, co?

Był tak pogrążony w myślach o Scarlett, że nie słyszał,

kiedy weszła na pomost. Dopiero wtedy, kiedy odwrócił się i poczuł ogromną radość, zrozumiał, jak bardzo liczył na to, że będzie go szukać.

Uśmiechnął się.

- Nie ma niebezpieczeństwa.

Ależ jest. Jest. Jest w sposobie, w jaki bije jego serce, kiedy, się zbliża ku niemu... wolno, z rękami w kieszeniach.

Jak do tego doszło, że zapomniał o zasadach, które rządziły całym jego życiem? Do tej pory praca była na pierwszym miejscu. A potem poznał Scarlett Morgan i wystarczyło, że stanęła przed nim, by zaczął pragnąć czegoś więcej.

Wiatr delikatnie rozwiewał jej kręcone włosy. Noc zamazywała kontury jej twarzy, kryła spojrzenie oczu.

- Porządnie się dziś napracowałeś - powiedziała, unikając jego spojrzenia.

Najwyraźniej niewystarczająco, bo inaczej leżałby teraz w łóżku. Śpiąc. Sam. Zamiast wyobrażać sobie to łóżko w nimi obojgiem.

- Przyjemnie było poruszać trochę rękami - odparł. - Zanim moja firma się rozrosła, dużo rzeczy robiłem sam. Teraz rzadko mam ku temu okazję. Zbyt wiele roboty papierkowej. Zbyt wiele podróży. Dopiero dziś uświadomiłem sobie, jak bardzo mi tego brakowało.

- Mam tylko nadzieję, że nie pozwoliłeś, by Gizer cię za bardzo wykorzystywał - powiedziała. Była wyraźnie spięta i nadal unikała jego spojrzenia.

Colin mimo woli uśmiechnął się.

- Nigdy nie pozwalałam nikomu się wykorzystywać. Chyba że sam tego chce.

- Jak naszym paniom dziś po południu?

- Niezła z nich gromadka - parsknął śmiechem. - Nigdy chyba nie widziałem kobiet tak. dobrze się bawiących we własnym towarzystwie. Śmiały się przez cały czas.

Przyglądał się jej profilowi. Tak bardzo chciałby spać z nią tej nocy.

- Cieszę się, że tu przyjeżdżają. Czuję się przy nich znów jak dziecko.

Tęsknota w jej głosie obudziła jego współczucie.

- Dziecko, które przez cały czas pracuje i tylko z daleka obserwuje zabawę innych?

Odpowiedziała mu wzruszeniem ramion.

- Czy Scarlett Morgan w ogóle się bawi? Kiedy nie pracuje w ogrodzie i nie zajmuje się gośćmi?

Scarlett znów wzruszyła ramionami i otuliła się szczelniej kurtką.

- Jeśli mam czas, czytam. Słucham muzyki. Czasami oglądam jakiś film z kasety, pożyczonej od J.D.

- I to wszystko?

- To wszystko. Wystarczy. A ty? Z tego, co mówił J.D. wynika, że tylko pracujesz. Jak ty się bawisz?

- Punkt dla ciebie - przyznał. - A więc oboje jesteśmy pracoholikami. Nie jest łatwo zerwać z przyzwyczajeniami.

Żal w jego głosie obudził czujność Scarlett. Colin zrobił krok w jej kierunku. Nie cofnęła się.

- Może powinniśmy się zastanowić, co z tym zrobimy?

Jeszcze zanim zadał to pytanie, wiedział, że ich rozmowa zeszła na inny tor. W oczach Scarlett, pełnych wahania, ale i podniecenia, wyczytał, że ona też o tym wie.

Wcale nie rozmawiali o swoim pracoholizmie. Ani

0 spędzaniu wolnego czasu. Unikali tylko w ten sposób najistotniejszego pytania. Dlaczego on stoi tu na tym pomoście? Dlaczego ona postanowiła go szukać?

- Co zrobimy z czym?

Jej głos był ledwie słyszalny. Nie stanowił żadnej konkurencji dla szumu wiatru i plusku fal bijących o pomost. On jednak słyszał. I tak samo jak Scarlett wiedział, o co chodzi.

To było nieuniknione. Od pierwszej chwili, kiedy zobaczył ją z tą smugą czekoladowej polewy na policzku. Ze zdziwieniem w oczach. Już wtedy jej pragnął. Pragnął jej i teraz.

- Co zrobimy z tym - szepnął. Poddał się pragnieniu i dotknął ustami jej warg.

Scarlett wiedziała, że nie powinna na to pozwolić. Nie powinna stać nieruchomo, kiedy się do niej zbliżył. Jego intencje były aż nadto wyraźne. Ale ona nie była w stanie się poruszyć, nie mogła normalnie oddychać.

Wiedziała, że Colin ją pocałuje. I że jej się to spodoba. Od dawna tego pragnęła. Nie wątpiła, że będzie go pragnęła jak nigdy żadnego mężczyzny.

Ręce, które objęły jej ramiona, były silne, ale nie zaborcze; jego ciało stało się ciepłą i mile widzianą osłoną przed wiatrem. W jego oczach widniało pożądanie, ale i przeprosiny.

Wtedy zapomniała o wszystkim. O swoim postanowieniu. O całej swej mądrości, rozsądku, błędach i ich konsekwencjach. Uniosła drżącą dłoń ku jego twarzy.

Pozwoliła mu przyciągnąć się do jego silnego, twardego ciała i poddała się jego pocałunkowi.

Było tak. jak obiecywały to jego oczy. A on był taki, jak

go sobie wyobrażała - ani nie nieśmiały, ani nie przepraszający. Jego usta były silne i zdecydowane. A jednak i dawał, i brał. Obudził w niej zupełnie nie znaną namiętność.

Otoczył ją jego zapach, męski i ziołowy, pomieszany z zapachem wiatru. Jego usta miały smak kawy i wina. Kiedy przyciągnął ją mocno do siebie i jęknął, poddała mu się całkowicie.

Chciała, by trwało to wiecznie. Ten pocałunek. To zbliżenie. Te uczucia, które obudził, tak intensywne i prawdziwe. Ale wieczne szczęście istnieje tylko w bajkach, a jej życie nigdy bajką nie było.

W końcu, wolno i niechętnie, Colin oderwał wargi od jej ust. Drżącą ręką pogładził włosy Scarlett. Oddychając ciężko, przytulił ją do siebie. Czuła jego przyspieszony puls i wiedziała, że jest tak samo podniecony jak ona i że tak samo nie chce, by się to skończyło.

- Scarlett...

Jej imię wypowiedział szeptem, ale w tym jednym słowie usłyszała tak wiele. Żal. Pragnienie. Zdecydowanie.

Westchnęła głęboko.

- Wiem.

Wysunęła się z jego ramion. Odwróciła się w stronę jeziora.

To był błąd.

Nagle Colin znalazł się tuż za nią. Po chwili wahania przytulił ją do siebie. Westchnął głośno i wsparł brodę o czubek jej głowy.

- Żałujesz?

Scarlett położyła dłonie na oplatających ją rękach Colina.

- Tego nie powiedziałam. Powiedziałam, że to błąd.

Jego milczenie było niezwykle wymowne.

- A więc co z tym zrobimy? - powtórzył pytanie.
- Zdaje się, że to pytanie nas do tego doprowadziło.
- To znaczy do czego?

Choć starał się nadać swemu głosowi swobodne brzmienie, jego ton zdradzał niepewność.

Wiedziała, że powinna się od niego odsunąć. Nie mogła. Było jej tak dobrze. Już od dawna nie dotykał jej żaden mężczyzna.

- Do kłopotów - powiedziała w końcu.
- Tak - zgodził się Colin. - Chyba masz rację.

Jeszcze przez kilka minut stali tak przytuleni - ona oparta o niego, on obejmujący ją od tyłu. Nie potrafili się od siebie oderwać, bo ich serca nie chciały słuchać głosu rozsądku.

- Nie nadaję się do przelotnych romansów, Colin - szepnęła w końcu drżącym głosem Scarlett. Wiedziała, że musi to powiedzieć. - A oboje wiemy, że tylko to mogłoby między nami być.

Colin na moment przycisnął ją mocniej do siebie, potem westchnął i wypuścił ją z objęć.

- Wiem. I przepraszam. Szkoda, że nie może być inaczej.

Scarlett odwróciła się ku niemu. Nawet w ciemnościach widziała smutek na jego twarzy. Przede wszystkim zobaczyła jednak mężczyznę, który przywrócił ją do życia, sprawił, że znów poczuła się kobietą, po raz pierwszy od dnia rozwodu. Za ten dar zawsze będzie mu wdzięczna.

- Nie masz za co przepraszać.

Colin badawczo wpatrywał się w jej twarz. Była pełna życia, delikatna i zdecydowana - równocześnie. Jeszcze

nigdy bardziej nie pragnął żadnej kobiety. Nigdy dotąd nie popełnił tak wielkiego błędu, jakim było wzięcie jej w ramiona.

Ona nie odczuwała tego żalu. Nie miała jednak zamiaru pozwolić, by sprawy posunęły się dalej. Słabym uśmiechem zapewniła Colina, że wszystko jest w porządku. Po tem skinęła mu głową na pożegnanie i odeszła.

- Mylisz się - szepnął zbyt cicho, by usłyszała. Miał czego żałować. Po raz pierwszy w życiu żałował, że nie może dać kobiecie, tej kobiecie, tego, czego od niego potrzebuje.

- Mogę zrozumieć, czemu ktoś biegnie dokąś - mrucał pod nosem Gizer drapiąc się po głowie. - Ale tak biegać w kółko, to bez sensu.

Colin obojętnie słuchał narzekań Gizera i dalej wolno biegał dokoła, by wyrównać oddech. O świcie przebiegł osiem kilometrów, potem następne osiem, w nagrodę lub może za karę. Wiedział tylko, że musi wyrwać się z tego hotelu, uciec od kobiet i ich sztuczek, zanim wyciągnie wnioski, których stara się uniknąć. Nie chciał też natknąć się po drodze na Scarlett.

- No, co tam Belinda dziś w nocy wykombinowała? Trzęsące się łóżko czy otwarte okno? - spytał bez zbędnych wstępów Gizer. - Panieneczka i jej mamusia założyły się o to i ja trzymam stawkę.

Colin spojrzał na staruszkę podejrzliwie.

- A skąd ty wiesz, co się dzieje w tym pokoju?

Gizer tylko prychnął.

- Wiem, że żaden mężczyzna nie wytrzymał tam dłużej niż trzy noce, a ty tylko udajesz chojraka.

- Nie powiesz mi chyba, że wierzysz w te głupstwa o duchu córki Koryntu.

- Ja? Ja nie muszę w nic wierzyć. Ja tylko trzymam stawkę. No to jak było? - dopytywał się, człapiąc w kierunku pomostu, by przygotować łódkę dla wędkarzy.

Colin poszedł za nim, by mu pomóc. Przykucnął, rozwiązał cumę i rzucił ją siedzącym w łodzi mężczyznom.

- Nie wyłapcie nam wszystkich ryb - starał się przekrzywić ryk silnika Gizer. - Im więcej ich przywożą, tym więcej mam roboty - mruknął i wrócił na swój leżak w cieniu hangaru.

Rozsiadł się wygodnie, przymknął oczy i zsunął kapelusz na tył głowy.

- Trzęsące się łóżko czy otwarte okno? - spytał znów.

- Okno - przyznał Colin. Wpatrując się w jezioro, przeczeszał palcami włosy. - Ale jest na to zupełnie logiczne wyjaśnienie.

- Tak.

- Te okna są przedpotopowe. Wiszą na podwójnych zawiasach, naprawianych jakimiś sznurkami i drutami - przekonywał Gizera.

Tak samo próbował przez całą noc przekonać siebie, kiedy znów budziły go krople deszczu wpadające przez otwarte okno, które godzinę wcześniej zamknął. Czuł się jak piłeczka pingpongowa, co chwila wskakująca i wyskakująca z łóżka.

- Coś się musiało obluzować.

- Tak samo. jak coś się obluzowało w drzwiach do pokoju Belindy, co?

Colin aż się skrzywił. Rano znów miał problem z ich otwarciem.

- Drewno puchnie od wilgoci. Będę musiał je jeszcze raz zheblować.

- Na wszystko znajdziesz odpowiedź?

- Wystarczy mieć trochę rozumu.

- I tego właśnie użyłeś w stosunku do naszej gospodyni, he?

Colin spojrział na niego zdziwiony.

- Widziałem, co widziałem, Nie mogłem spać. Doku-
czyła mi podagra. Postanowiłem trochę pochodzić. To po-
maga. - Obrzucił Golina pogardliwym spojrzeniem. -
Wiedziałem, że jesteś bardzo podejrzany.

- To, co wydarzyło się między mną a Scarlett, nie po-
winno cię obchodzić.

- Nie słuchałeś mnie. Ostrzegałem cię od początku, że
opiekuję się Scarlett Morgan i nie pozwolę jej skrzywdzić.

- A ja ci powiedziałem, że nie mam takiego zamiaru.

- To trzymaj się od niej z daleka.

- Posłuchaj, nie muszę się przed tobą tłumaczyć, ale
wiedz, że wcale nie miałem zamiaru jej pocałować. I wię-
cej tego nie zrobię. Oboje uznaliśmy, że to był błąd, rozu-
miesz? Każde z nas ma swoje plany, a nie są one kompa-
tybilne.

- Nie znam tych modnych słówek - prychnął Gizer.

- Kompatybilne czy nie. ale widzę, jak ona na ciebie
patrzy.

Uwaga Gizera obudziła w Golinie wyrzuty sumienia.
Musiał je jakoś zagłuszyć.

- A ty niby kim jesteś dla niej?

Gizer spojrział mu prosto w oczy.

- Nieważne, kim ja jestem dla niej - oznajmił z dumą,

- lecz kim ona jest dla mnie. Dała mi pracę, choć wszyscy

twierdzili, że już się do niczego nie nadają. Przyjęła mnie do siebie, kiedy nie miałem gdzie się podziać. I kocha to jezioro tak samo jak ja i chce, żeby zostało takie, jakie jest. To bardzo dobra kobieta i przyjaciółka. Chciałbym mieć taką córkę.

Colin przez długą chwilę rozważał jego słowa.

- Szczęściara z niej, że ma takiego lojalnego przyjaciela. Nie chcę jej skrzywdzić, Gizer. Muszę jakoś wytrzymać tu przez te półtora tygodnia, a potem wracam do swoich spraw.

Gizer obrzucił go podejrzliwym spojrzeniem, a potem skierował wzrok na jezioro.

- Więc trzymaj się tego planu. A skoro już tu jesteś, nie zaszkodzi, jeśli trochę jej pomożesz.

- Choć możesz w to nie wierzyć. Scarlett i ja też doszliśmy do tego wniosku.

- Więc nie trać czasu, chłopcze. Bierz się do roboty.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Następny dzień zaczął Colin od powtórnej naprawy drzwi do swego pokoju. Choćby przez cały tydzień miał zajmować się tylko nimi, te cholerne drzwi przestaną się wreszcie zacinać.

Jednego tylko nie rozumiał - dlaczego nigdy nie było z nimi problemu, kiedy wchodził do pokoju. Stawiały opór tylko wtedy, kiedy chciał wyjść.

Przez następne dwa dni i dwie noce Colin robił, co mógł, by unikać Scarlett. Nie potrafił jednak zachowywać się niegrzecznie. Przychodził na śniadanie, potem brał skrzynkę z narzędziami i ruszał do roboty. Zaczął od okien - najpierw od tego w swoim pokoju. Codziennie pracował do obiadu, wpadał na szybki posiłek i znów pracował przez resztę popołudnia. Wieczorem połykał kolację i znów zniżył - nie rozmawiał nawet z Casey, która wyraźnie polubiła jego towarzystwo. Po tradycyjnym już spacerze na pomost wracał, przekonując samego siebie, że w jego pokoju nic dziwnego się nie dzieje.

Ale nie była to prawda.

Którejś nocy budził się kilkakrotnie, mając wrażenie, że jego łóżko się trzęsie. Rozglądał się, ale nie znajdował żadnej przyczyny. Dopiero rano zauważył, że łóżko przesunęło się o dobry metr na środek pokoju.

- Podłoga w tym pokoju jest pochyła - powiedział Gi-

zerowi, kiedy ten dopytywał się o wydarzenia w pokoju Belindy. - W ogóle w całym budynku nie ma równej podłogi. Hotel z każdym dniem coraz bardziej osiada.

Gizer sceptycznie przyjął jego wyjaśnienia i spytał Golina, ile razy heblował już drzwi.

Dwie następne noce były stosunkowo spokojne - jeśli nie liczyć realistycznych, kolorowych i podniecających snów, które Colin śnił każdej nocy od przyjazdu. Między świtem a zmrokiem udawało mu się trzymać z daleka od Scarlett. noce jednak były jej pełne. Jej dotyku. Zapachu. Namiętej obietnicy.

Któregoś ranka obudził się tak rozpalony, że pokój wydał mu się lodowaty. Podbiegł do okna, spodziewając się zobaczyć szron na parapecie. Powitał go ciepły lipcowy poranek.

Szybko włożył strój sportowy i przez chwilę, klnąc pod nosem, walczył z drzwiami. W końcu otworzył je i nie oglądając się za siebie, nie myśląc ani o pokoju, ani o Scarlett, wybiegł na dwór. Biegał tak długo, aż padł pod jakimś drzewem z wyczerpania. Resztę dnia spędził tak, jak sobie postanowił - trzymając się z daleka od Scarlett.

Tyle tylko, że jego plany, podobnie jak jego postanowienie, skazane były na niepowodzenie.

Nadszedł dzień, którego Scarlett najbardziej się obawiała. Hotel był pusty. Wędkarze włożyli swój połów do turystycznych lodówek i wrócili do domów. Paniom skończyły się wakacje, więc niechętnie pożegnały się z nią do następnego roku. Ojciec z synami mieli wrócić z wycieczki dopiero za dwa dni. Następnymi gości spodziewała się także za dwa dni. Nawet Gizer, korzystając z krótkiej prze-

rwy w ruchu, uznał, że nie może już dłużej odkładać wizyty u swej siostry w Bordertown.

No i Casey. Zasłużyła na krótki odpoczynek. Kiedy Mackenzie skontaktowała się z nią przez krótkofalówkę i spytała, czy Casey mogłaby spędzić z nimi weekend, Scarlett natychmiast się zgodziła. Nie mogła pozbawić córki takiej przyjemności.

Mark zjawił się wcześniej, tuż po ósmej. Połknął kilka karmelowych bułeczek i pomógł Casey i szczeniakom załadować się do łódki.

- Wzięliście ten koszyk z prowiantem, który przygotowałam? Jest tam zapiekanka na kolację, świeży chleb i bułeczki, które powinny wystarczyć wam na kilka śniadań.

- Niech się pani nie martwi. Prędzej zapomnielibym o Casey niż o pani bułeczkach - zapewnił ją Mark i jęknął, kiedy Casey karcąco uderzyła go w ramię.

Scarlett nie mogła się nie uśmiechnąć. Mackenzie miała rację. Mark nie przypomina już zupełnie tego gburowatego, ponurego i niespokojnego chłopaka, którego w grudniu Mackenzie przywiozła tu z Kalifornii.

- Ile razy cię prosiłam, żebyś mówił do mnie po imieniu? - powiedziała z uśmiechem. - Traktujesz mnie jak staruszkę.

- Przepraszam pa... to znaczy Scarlett.

- Tak jest dużo lepiej. Bawcie się dobrze. Do zobaczenia, Casey.

Scarlett stała potem na pomoście i patrzyła za oddalającą się łódką. Wiedziała, co oznacza wyjazd Casey. Córka była jej ostatnim murem obronnym. Teraz została sama na sam z mężczyzną, z którym nigdy nie powinna być sama.

Odwróciła się wolno, spojrzała w kierunku hotelu i westchnęła głęboko.

- Nie masz się czym niepokoić - zapewniła samą siebie.

Od tamtej nocy na pomoście, kiedy ją pocałował, Colin trzymał się od niej na taki dystans, jakby dzielił ich Wielki Kanion. Czasami tylko widywała go z daleka - kiedy wracał z biegania, zawzięcie heblował drzwi do swego pokoju, wpadał do jadalni na szybki posiłek.

Jeśli jemu się to udaje, to jej na pewno uda się także. Musi się tylko trzymać od niego z daleka i wszystko będzie w porządku.

Z determinacją, dzięki której już szósty rok włądała Purpurowym Wodospadem, zawinęła rękawy, by dla relaksu zająć się trochę ogródkiem. Zajęła tym jednak tylko ręce, nie myśli. Przez cały czas zastanawiała się, jak by to było kochać się z Colinem Slaterem.

W południe zmoczył ją deszcz. Chmury nadciągnęły tak szybko, że nie zdążyła uciec. Chwyła naręczę świeżo ściętych lwich paszczy, dobiegła do drzwi kuchennych i bez tchu wpadła do środka.

Wrzuciła kwiaty do zlewu, by zająć się nimi później, i pobiegła pozamykać okna na parterze. Potem poszła na górę, zamknęła okna u siebie i weszła pod prysznic.

Ostatnio widziała Colina, jak wchojdział do hangaru koło pomostu. Zadowolona, że deszcz zastał go tam, a nie w hotelu razem z nią, wytarła ręcznikiem włosy. Nawet ich nie rozczesaa, lecz narzuciła tylko na siebie szlafrok i boso wróciła do kuchni.

Chmury, czarne i gęste, zasnuły całe niebo. Było szaro i ponuro. Dudniły przewalające się grzmoty. Było to ide-

alne popołudnie na dobrą książkę, filiżankę gorącej herbaty i relaks w fotelu. I to właśnie miała zamiar zrobić. Włożyła kwiaty do wody. by nie zwiędły, i postawiła czajnik na kuchence.

Parę minut później, z filiżanką herbaty i małym wazonikiem pełnym lwich paszczy szła na górę, z radością myśląc o czekających na nią tam książkach.

Dopiero na podeście przypomniała sobie, że nie sprawdziła okna w pokoju Belindy.

Kwiatki nagle postanowiła zanieść dla Colina, filiżankę postawiła na stoliku w holu i podeszła do zamkniętych drzwi.

Colin szklął właśnie okna w hangarze na przystani, kiedy zauważył zbierające się chmury. Kiedy wpadł na werandę, padały już pierwsze krople deszczu.

Pusty hotel oznacza kłopoty. Unikanie Scarlett będzie teraz prawie niemożliwe. Nawet przy ludziach nie było to łatwe. Kiedy dzielić ich będą tylko ściany i dobre intencje, jego wstrzemięźliwość zostanie wystawiona na ciężką próbę.

W tej chwili najbezpieczniejszym miejscem wydawał się jego pokój. Tam postanowił przeczekać burzę, a potem wrócić do pracy. Sam. Z daleka od Scarlett. Bezpieczny. Rozsądny.

Zrzucił mokrą koszulę i buty i tylko w spodniach położył się na łóżku. Założył ręce pod głowę, wpatrywał się w sufit i słuchał, jak deszcz stuka o szyby. I jak trzaskają kuchenne drzwi. A także, jak Scarlett zamyka okna na parterze. I jak idzie na górę i potem odkręca kran.

Zamknął oczy, by odsunąć obraz jej nagiej w kąpieli,

wody spływającej po gładkiej skórze, twarzy zarumienionej od gorąca, rąk namydających ciało...

Jęknął i próbował skoncentrować się na tym, co dzieje się na zewnątrz. Zamiast grzmotów słyszał jednak tylko walenie własnego serca. Nawet nie wiedział, ile czasu minęło, kiedy usłyszał ciche kroki, zbliżające się do jego drzwi.

Leżał nieruchomo jak kamień. Czekał w milczeniu. Wolno obróciła się mosiężna klamka. Jeszcze wolniej uchyliły się drzwi. Wmawiał w siebie, że śni, miał jednak nadzieję, że nie. Spojrzał w kierunku drzwi.

Stała tam - kobieta, która nawiedzała jego sny.

Tak jak w snach, miała na sobie czerwoną, jedwabną suknię, zsuniętą z jednego ramienia, rozchyloną z przodu, ukazującą długą, opaloną nogę. Włosy miała mokre, oczy ogromne, kwiaty, które trzymała w ręku, pachniały jak jej skóra pod tym jedwabiem.

- Przepraszam. My... myślałam, że jesteś w hangarze. Chcia... chciałam tylko zamknąć okno i... zostawić ci to.

Colin uniósł się na łokciu i nie mógł oderwać od niej oczu. Była dokładnie taka, jak w jego snach.

- Postawię... postawię je tu... na stoliku.

Jej oczy prosiły o pozwolenie, świadczyły o świadomości... intymności tej chwili, kiedy Scarlett stała tak w jego pokoju tylko w szlafroku* a on leżał na łóżku.

Jedwab szeleścił, ocierając się o jej skórę, kiedy przeszła przez pokój i drżącymi rękami ustawiła wazonik na stoliku przy oknie. Stała tam przez długą chwilę. Odwrócona do niego plecami. Ze spuszczoną głową. Z rękami zaciśniętymi na wazoniku, jakby była to kotwica. Jej cień tańczył na spłowiałej tapecie.

Burza szalała za oknem. Wojna żywiołów była jednak niczym w porównaniu z walką, jaką Colin toczył ze sobą, by nie poprosić jej, by została.

Wszystko w niej go pociągało: delikatna kragłość bioder, blask włosów, wijących się wilgotnymi lokami wokół twarzy. A kiedy odwróciła się od okna, jej rzęsy były opuszczone, oddech szybki i płytki, twarde sutki widoczne pod cienką materią. Myślał, że umrze z pożądania.

Jęknął i opadł na poduszkę.

- Wyjdź - szepnął i zasłonił ramieniem oczy. - Wyjdź, bo oboje będziemy tego żałować.

Wolno i z wahaniem ruszyła ku drzwiom. Mimo burzy i deszczu znów słyhać było szelest jedwabiu. Ciche skrzywienie starej podłogi. Szczęk kłamki.

A potem znowu szelest. Coraz bliżej.

Colin uniósł ramię i zobaczył ją stojącą pośrodku pokoju. Patrzyła na niego. Czekwała, aż powie to jedno słowo, które usankcjonuje jej decyzję.

- Scarlett. Nie chcę, żebyś żałowała.

Zapomniała o dumie, poddała się pożądaniu. Widział to w jej oczach, kiedy zrobiła pierwszy krok w jego kierunku.

- Jak mogłabym żałować czegoś, co będzie takie piękne.

Colin znów jęknął i oderwał od niej wzrok. Nie mógł patrzeć w jej przenikliwe oczy, nie pragnąc jej dotknąć. Nie mógł oddychać.

- Prosisz niewłaściwego mężczyznę. To nie ja będę potem cierpieć. To nie ja zostanę tutaj, mając za jedynych towarzyszy żal i smutek.

- Żal - powtórzyła jak echo. - Tak, jeśli będziemy się kochać, będę pewnie potem tego żałować. Ale będzie to

nic w porównaniu z żalem, jaki będę czuła, jeśli tego nie zrobimy.

Colin z trudem przełknął ślinę i odwrócił się znowu ku niej. Była tuż obok. Tak blisko, że widział żyłkę pulsującą w zagłębieniu jej szyi. Czuł zapach jej szamponu.

Przysiadła na łóżku obok niego. Jej nagła bliskość pozbawiła go tchu. Ciepło jej ciała docierało do niego poprzez materiał spodni.

- Czekałam tak długo - wyznała głosem drżącym z pożądania. - Chcę... chcę znów poczuć się kobietą. Pragnę wiedzieć, jak to jest być pożądaną nie tylko... z powodu gościnności i dobrej kuchni. - Scarlett zdobyła się na lekki, nieśmiały uśmiech. - Nie proszę o żadne obietnice, Colin. Wiem, że wyjedziesz. Dobrze. Nie proszę o nic więcej, tylko o tę chwilę.

Widział, z jakim trudem jej to przyszło. Nie mógł jej odmówić. Ale wiedział, że jeszcze raz musi spróbować.

- Nie chcę cię skrzywdzić.

Scarlett zamrugała gwałtownie powiekami. Spojrzała na swoje dłonie splecione na kolanach, a potem znów na Golina.

- Skrzywdziłbyś mnie, gdybyś kazał mi teraz odejść.

Colin szukał jakiejś wymówki. Dała mu ją teraz. Był na siebie zły za swoją słabość.

- Wiem, że powinienem namówić cię, byś odeszła. Ale nie mogę. Już nie. Tak bardzo cię pragnę. Pragnąłem od pierwszej chwili.

Ulga. Oczekiwanie. Pożądanie. Wszystko, co czuła, zobaczył w jej oczach. Wszystko oprócz jednej rzeczy, która powinna tam być. Oprócz żalu.

Jutro będzie żałowała. Ale nie dzisiaj. Dzisiaj on zrobi

wszystko, by nie żałowała. Dziś da jej to, co może jej dać jako mężczyzna.

Wyciągnął rękę. Podała mu swoją, drżącą, i pozwoliła się przyciągnąć. Poczł ciepło jej ciała.

Z czułością, jaką nie obdarzył jeszcze nigdy żadnej kobiety, wsparł się na łokciu i spojrzł jej w oczy.

- Powiesz mi... co lubisz... czego nie lubisz. Co mam robić, żeby było ci dobrze.

Jej uśmiech był delikatny.

- Coś mi mówi, że już wiesz.

Miała rację. Wiedział. Udowodnił jej to, kiedy dotknął jej ust, o których marzył od tamtego wieczoru na pomoście. Zapomniał o wszystkich swoich wcześniejszych wahaniach. Liczyła się tylko ona i ten pocałunek.

Scarlett poddała mu się całą sobą. Jego ciało nad nią było takie gorące i silne, wciskało ją w materac, ocierało się o jej ciało.

Z zachwytem pieściła jego plecy, czuła ich lekkie drżenie.

Jego usta, zadziwiająco miękkie i delikatne, pieściły jej szyję

- Śniłem o tym. - Colin uniósł głowę, patrzył jej w oczy, a jego dłoń zsunęła się wzdłuż wewnętrznej strony jej uda.

- Śniłem, że przychodzisz do mnie rozpalona, w czerwonym jedwabiu. Widziałem ciępode mną... widziałem cię nade mną

- szepnął i pociągając ją za sobą, przewrócił się na plecy. Była teraz nad nim, obejmowała udami jego biodra.

Scarlett wstrzymała oddech, kiedy Colin rozpiął spodnie. Zsunął je szybko i rzucił na ziemię.

- Czy wiesz, jaka jesteś piękna? Nie - rzekł, reagując na lekki, wstydlwy ruch jej głowy. - Na pewno nie wiesz.

- Popatrz - namawiał, spoglądając w kierunku stojącej obok łóżka toaletki. - Popatrz sama. Zobacz, czemu doprowadzałaś mnie do szaleństwa.

Zrobiła, co jej kazał. Wolniutko obróciła głowę w kierunku toaletki. Jej lustro było zmatowiałe ze starości. Obrazy w nim odbite wydawały się nie z tego miejsca i nie z tego czasu.

Jak urzeczona wpatrywała się w widocznych tam kobietę i mężczyznę. Wiedziała, że to oni, lecz czuła się jakby poza tym obrazem. Pozostały tylko doznania, jakie dawało jej leżące pod nią ciało Golina.

Kobieta w lustrze była rozpustna i swawolna. Jej policzki płonęły pożądaniem. Włosy, płatanina rudozłotych loków, opadały zalotnie na ramiona. Siedziała okrakiem, czerwony szlafrok trzymał się na miejscu tylko dzięki związanemu w talii paskowi, rękawy miękkimi fałdami opadały jej z ramion.

Poły były rozchylone, ukazując pełne piersi, skórę koloru kości słoniowej, twarde, różowe sutki.

- Nie... nie odwracaj wzroku - zaprotestował cicho Golin, kiedy próbowała uciec spojrzeniem od tego erotycznego obrazu. - Patrz. Zobacz, jak wyglądamy razem.

Zahipnotyzowana jego głosem, posłuchała. Opłynęła ją fala pożądania, kiedy napotkała w lustrze jego srebrzystoszare oczy. Drżała, pozwalając, by wolniutko zsunął z niej szlafrok.

Miał rację. Przepięknie wyglądali razem. Kontrast był zachwycający. On szczupły, silny, umięśniony. Ona miękka, krągła i gibka. Jego dłonie, obejmujące jej piersi, duże i mocne. Jej dłonie, spoczywające na jego ramionach - drobne i delikatne.

Poddała się pieścizotom. Prosiła kołyszącym ruchem bioder, muskaniem jego dłoni, by ją kochał, by ukoił ten słodki ból, który czuła w całym ciele.

Jego gorąca, twarda męskość spoczywała przy tym tajemniczym, wilgotnym miejscu między jej udami. Wcisnęła kolana głęboko w materac i ocierała się o nią.

Z tłumionym jękiem Colin uniósł głowę, objął jej plecy i ustami odszukał pierś. Znalazł sutkę, otoczył ją wargami i ssał. Unosząc się lekko. Scarlett rytmicznie ocierała się o jego męskość.

- Wielkie nieba - jęknął Colin i zanurzył twarz między jej piersi. -i jak teraz mam nad sobą panować?

Scarlett pogłaskała go po policzku, a potem ujęła w dłonie jego twarz.

- Nie trzeba... Nie chcę twojego opanowania. Chcę ciebie. Proszę... Colin, proszę...

Stłumił jej błaganie swoimi ustami, uniósł się i położył ją na plecy, z głową w nogach łóżka.

Nie pytał, skąd wzięła się prezerwatywa. Nawet nie docenił jej przezorności. Wyjął ją z jej ręki, rozerwał opakowanie i wsunął na siebie.

A potem był już w niej, Cały, głęboko.

Scarlett uniosła ręce za głowę, chwyciła mocno żelazną poręcz łóżka, wygięła się w łuk i poddała się rytmicznym ruchom jego ciała. Kiedy wsuwał się głębiej, unosiła się na jego powitanie. Kiedy się wysuwał, szeptała jego imię i zapraszała z powrotem.

Doprowadziła go do orgazmu tak szybko, jak nigdy mu się to jeszcze nie zdarzyło. Ogarnął go nagłą, oszałamiającą, gorącą falą.

Leżąca pod nim Scarlett wydała cichy jęk i osiągnęła

szczyt wraz z nim. Czuł jej wygięte w łuk ciało, widział zbieleiałe palce zaciśnięte na oparciu łóżka. Słyszał płytki, szybki oddech, jęki i westchnienia.

I choć wciąż jeszcze był w niej, wiedział, że będzie musiał wziąć ją znowu.

Obudził ją odległy grzmot odchodzącej już na północ burzy.

Obudził ją jego dotyk. Delikatne, zmysłowe muśnięcie piersi. Nie na do widzenia, lecz na dzień dobry. Witaj, znowu chcę cię pieścić.

- Dobrze - szepnął jej do ucha. - Już nie śpisz.

- Mhm.

Słodkie, rozmarzone parsknięcie.

Było jej tak dobrze. Jego dłoń na jej piersi. Kciuk muskający sutkę. A potem w tym samym miejscu jego usta.

Zadowolona jak kotka, przeciągnęła się i jęknięciem powitała jego usta przy swoim pępku.

Uniosła głowę i jej zamglone podnieceniem oczy napotkały jego spojrzenie. Nie odrywając wzroku od jej twarzy, przesunął językiem po jej biodrze, a rękę wsunął między jej uda.

Rozchyliła je dla niego, otworzyła się dla niego i pozwoliła, by pieścił ją tam wargami i językiem, aż spod jej rzes popłynęły łzy, a z ust wyrwało się jego imię.

Później długo trzymał ją w ramionach.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Kiedy znów się obudziła, w pokoju paliła się lampa naftowa. Wolno i usiadła i jęknęła, bo ciało bólem mięśni przypomniało jej o wysiłku, jakiego nie zaznało od wielu, wielu lat.

Odsunęła włosy z twarzy i rozejrzała się po pokoju. Był pusty. Wstała ostrożnie z łóżka, znalazła na podłodze swój szlafrok, narzuciła go na siebie i boso zeszła na dół.

Znalazła Colina w kuchni. Kiedy ją zauważył, uśmiechnął się, a pod nią nogi się ugięły.

- Cześć - rzekł, podchodząc bliżej.

- Cześć - odparła nieśmiało i pozwoliła wziąć się w ramiona.

- Myślałem, że będziesz spała aż do rana.

- Co...? Miałabym pozwolić, byś sam się o' siebie troszczył? Na pewno jesteś głodny.

W jego oczach pojawił się niebezpieczny błysk.

- Wielu rzeczy.

Nie mogła się nie zarumienić.

Nie mógł się nie roześmiać. Przycisnął ją mocno do siebie, a potem wypuścił z objęć i podszedł do blatu.

Scarlett wsparła się ramieniem o ścianę i z przyjemnością mu się po prostu przyglądała. Miał na sobie tylko spodnie, nic więcej. Nagi do pasa i bosy, poruszał się po

jej kuchni z pewnością człowieka, który wie, co chce osiągnąć.

- Co robisz?

- Przygotowuję ci kolację.

- Ty przygotowujesz dla mnie kolację? Chyba pomyliłeś role. To ja tu jestem gospodynią. Powinnam...

- Powinnaś siedzieć - rzekł. Podeszedł do niej, wziął ją pod pachy i posadził na kuchennym blacie. Nie ośmieliła się nawet zaprotestować. - Pora, proszę pani, by ktoś dla odmiany poopiekował się panią.

- Ale...

- Żadnych ale - oznajmił zdecydowanie i stanął między jej udami. Dłońmi ujął jej twarz. - Możesz sobie protestować, ile chcesz, Scarlett, ale nic mnie to nie obchodzi.

Scarlett uśmiechnęła się. Ten niesamowity mężczyzna zupełnie ją rozbroił.

- Tylko czekałeś na okazję, żeby móc to powiedzieć, prawda?

Pocałował ją krótko i mocno.

- Czasami aż sam się dziwię, że jestem taki oryginalny - mówiąc to, uśmiechnął się krzywo.

Oboje wiedzieli, że słyszała te słowa sto razy.

Mnie też zadziwiasz, pomyślała, spoglądając na Colina wymownie. Może nie oryginalnością, lecz swoim urokiem i tym, że jesteś najśłodszym, najbardziej bezinteresownym i najbardziej podniecającym kochankiem, o jakim każda kobieta może marzyć.

- Będzie mi pani musiała jeszcze coś wyjaśnić, panno Scarlett.

Zdziwiła ją i zaskoczyła nagła powaga Colina.

- Wyjaśnić?

- Dlaczego taka urocza, cnotliwa właścicielka hotelu ma pod ręką coś takiego? - spytał. Sięgnął do kieszeni jej szlafroka i wyjął stamtąd foliową paczuszkę.

- A, o tym mówisz - uśmiechnęła się z lekkim zakłopotaniem.

- Tak, o tym. - Colin schował paczuszkę do kieszeni swoich spodni i położył jej ręce na ramionach.

- Mamy, jak wiesz, apartament dla nowożeńców.

-i?

- Był zajęty w zeszłym tygodniu.

Colin przez chwilę przyglądał jej się z rozbawieniem.

- No, wiesz, to rzeczywiście ciekawe. Zamiast czekoladek czy kwiatów na poduszce witasz swych gości kondomami gratis.

- Niezupełnie. Rano, zaraz po ich wyjeździe, sprawdzałam ten pokój. Jeszcze zanim się ubrałam... W razie gdyby czegoś zapomnieli.

- Nie rozumiem.

- Mam przecież nastoletnią córkę. Kiedy je znalazłam, schowałam do kieszeni, zanim Casey wzięła się do sprzątania tego pokoju. Zupełnie o nich zapomniałam.

- Do dzisiaj.

- Do dzisiaj.

- Mieliśmy szczęście, że stało się to w porę - zauważył z uśmiechem. - Jesteś piękna, kiedy się rumienisz.

- Podoba ci się to. co?

- Ty mi się podobasz.

By to udowodnić, znów ją pocałował, długo i wolno. A potem zajął się kolacją.

A kiedy ona siedziała dalej na kuchennym blacie i przyglądała się, jak Colin przygotowuje sałatę i co chwila za-

głąda do piekarnika, popełniła największy błąd swego życia.

Zakochała się w nim. Przyznała, że od samego początku była nim nie tylko fizycznie zauroczona. Pogodziła się z faktem, że będzie go kochała do końca życia - co dla niego oznaczało niewiele ponad tydzień, a dla niej wieczność.

Kiedy przenieśli się do jadalni, przy świecach i przy winie, z gorzko-słodką tęsknotą pozwoliła się obsługiwać. Z bólem serca pozwoliła się karmić Colinowi truskawkami z bitą śmietaną i poddała się jego pocałunkowi, kiedy zlizywał sok truskawkowy z jej warg.

Zmusiła się do śmiechu i zabawy i udawała, że tak będzie zawsze. Przekonała go, że potrzebuje jej pomocy przy zmywaniu, co skończyło się bitwą na mydliny. Zapamiętywała każdą chwilę, kiedy potem znów wziął ją do swego łóżka.

Nad ranem wstała ostrożnie i zwinęła się na fotelu w przeciwległym krańcu pokoju. Siedziała tam długo, patrzyła na śpiącego Colina, podziwiała jego wspaniałe ciało, nasłuchiwała oddechu. Nieświadoma łzy, która spływała jej po policzku, myślała o samotności, która nastanie, kiedy on wyjedzie.

Ranek powitał ich ciepły i słoneczny. Wzięli wspólny prysznic, który przerodził się w pełne namiętności kochanie się. Po krótkim odpoczynku na łóżku postanowili zrezygnować z biegania i przejść się do wodospadu.

Colin, z plecakiem wyładowanym obiadowymi wiktulami, pozwolił, by Scarlett go prowadziła.

Las po deszczu był wonny i zielony. Scarlett pokazywa-

ła Colinowi różne leśne kwiatki, nazywała je i zachwycała się nimi. Co chwila pytała, czyż nie jest to najpiękniejsze miejsce na ziemi.

Colin z uśmiechem przyznawał jej rację. I czuł wyrzuty sumienia.

Była zbyt rozmowna. Za często się uśmiechała. Zbyt głośno się śmiała. Wiedział, dlaczego. Zaczynała już żałować, że przekroczyli tę granicę. Przygotowywała się do jego odejścia. A on w tym samym czasie starał się wymyślić jakiś pretekst, by zostać... chociaż trochę dłużej. Dodatkowy tydzień. Może nawet dwa.

Zaklął pod nosem i odsunął od siebie tę myśl. Nie mógł zostać. Oboje od początku o tym wiedzieli. Musiał wracać do swych interesów. I do swojego życia. A ona miała przecież tutaj swoje.

- Czyż on nie jest fantastyczny?

Był tak pogrążony w myślach, że nie zauważył, iż są już nad urwiskiem. Nie zwrócił też uwagi na narastający odgłos spadającej wody.

Przeszedł dzielące ich kilka metrów i zobaczył to, co ją tak zachwycało. Po drugiej stronie urwiska ujrzął Purpurowy Wodospad, w całej jego dzikiej, spienionej, nieokiełznanej okazałości. Jego purpurowe wody spadały ze skał do jeziora z wysokości co najmniej stu pięćdziesięciu metrów.

Tak, był rzeczywiście fantastyczny.

Podobnie jak Scarlett,

Była tak piękna, że nie mógł oderwać od niej wzroku. Żadna kobieta nie wzbudziła w nim takich uczuć. Tak fundamentalnych i tak głębokich.

- Czy możesz sobie wyobrazić, że ktoś chce zbezczęścić to piękno szosami, drutami elektrycznymi i osiedlami?

Nie chciał rozmawiać o szosach, liniach elektrycznych ani osiedlach. Ale nie chciał też mówić o swoich uczuciach. Były zbyt silne. Zbyt prawdziwe. I absolutnie daremne. Wkrótce stąd wyjedzie. Wkrótce ją zostawi.

O tym też nie chciał rozmawiać. Nie zniósłby smutku w jej oczach. Nie mógł zniszczyć ich ostatnich wspólnych pięknych chwil.

Wybrał więc najbardziej tchórzowskie wyjście.

- Wiesz przecież, że takie osiedla przyniosą korzyść twoim interesom, prawda? Zaczekaj. - Gestem dłoni powstrzymał jej sprzeciw. - Szosą można by się tu łatwiej dostać. Osiedla spopularyzują twój hotel. Im więcej ludzi 0 nim usłyszy, tym więcej...

- Tu nie chodzi o interesy - przerwała Scarlett, zniecierpliwiona oczywistą logiką jego wyводу. - Lecz o zasady. I o zachowanie środowiska naturalnego w nienaruszonym stanie. O odrzucanie przeszłości w imię przyszłości.

- To wszystko racja... ale jesteś tylko samotną kobietą i wszystko przemawia przeciw tobie.

- i to znaczy, że powinnam się poddać?

- Nie - odparł cicho, mimo wszystko pełen podziwu dla jej determinacji. - To nie znaczy, że powinnaś się poddać. To znaczy, że powinnaś być przygotowana na coś, co ci się nie będzie podobało. I postarać się to wykorzystać.

Scarlett oderwała od niego wzrok i spojrzała na wodospad.

- Nie chcę się o to kłócić. Nie dzisiaj.

Nie dzisiaj, bo to ich ostatni dzień. Jedyne dzisiaj, kiedy mogą być tylko we dwoje, zanim wróci Casey, Gizer i hotelowi goście.

- Ja też nie chcę się kłócić - rzekł i zrzucił z barków plecak.

Kiedy tak stała, zapatrzona w swój ukochany wodospad, Colin postanowił zastanowić się nad tą całą sprawą z jej punktu widzenia. :

- Gdzie konkretnie chcą zbudować osiedla?

Spojrzała na niego i przez chwilę zastanawiała się nad jego intencjami.

- Tam - wskazała odległy grzbiet wzgórza na prawo od wodospadu. - Tuż obok tych skał. Nie będziesz już mógł na nie patrzeć, nie widząc grillów, metalowych mebli ogrodowych i kolorowych parasoli.

Z ponurą miną i rękami wspartymi na biodrach, Colin obserwował okolicę.

- Zbudowanie tam drogi będzie wymagało ogromnej roboty. Usuwania ton ziemi.

- Że nie wspomnę o wyciętych drzewach. To jeden z ostatnich dziewiczych lasów w tym stanie. Czy wiesz, jak rzadkie są dziś naturalne lasy? Zniwelowanie ich byłoby nie tylko grzechem przeciwko naturze, ale świństwem wobec człowieka.

Colin musiał się uśmiechnąć. Wzruszyła go jej niezachwiana pewność siebie.

- Przydałaby się pani mównica, pani Morgan.

Już chciała się oburzyć, kiedy zorientowała się, że żartuje.

- A pewnie, szanowny panie. I będę ją miała pojutrze na przesłuchaniu.

- Na przesłuchaniu?

- Przedsiębiorstwo, które chce tu budować osiedla, musi mieć najpierw zgodę władz hrabstwa. Do tego czasu cały projekt jest wstrzymany. Nie ja jedna występuję przeciwko

niemu. Także chociażby Abel i Mackenzie, J.D. i Maggie. Jeśli wielu z nas przemówi, jeśli nasze argumenty będą logiczne, może uda się zakończyć całą sprawę, jeszcze zanim się zaczęła.

- Zbyt często używasz słowa „jeśli”.

Scarlett znów spojrzała na wodospad.

- Jak większość hrabstw, także i nasze ma niewielki budżet. Niestety, pieniądze są lepszym argumentem niż sentyment czy zachowanie nieskażonego jeziora i Purpurowego Wodospadu dla potomności.

- Kto jest tu inwestorem i jak w ogóle ten ktoś zdobył tytuł własności tej ziemi? Myślałem, że to głównie tereny parku narodowego.

- Głównie. Ale ten konkretny kawałek został nabyty przez niejakiego Swena Iversona prawie sto lat temu. Od tamtej pory należy do jego rodziny. Kiedy kilka lat temu były plany powiększenia parku, jego spadkobiercy odmówili sprzedaży. Dolary Domu Marzeń lepiej przemówiły im do rozsądku i zdecydowali się na sprzedaż.

- Dom Marzeń? Nigdy o nim nie słyszałem.

Scarlett ukłękła, otworzyła plecak i zaczęła wyjmować jedzenie.

- To firma z Minneapolis. Od wielu lat próbowali kupić tutaj ziemię, żeby zbudować schronienie dla przepracowanych bogatych mieszczuchów. Wiesz, takich pracoholików, których na siłę trzeba zmuszać do odpoczynku, zabawy i świeżego powietrza, bo inaczej umrą z przedawkowania pieniędzy i władzy.

Ta ostatnia dowcipna uwaga usunęła resztki panującego między nimi napięcia. Golin wziął koc i razem rozłożyli go na ziemi.

- Chyba powinienem się obrazić.

Scarlett uśmiechnęła się.

- Jeśli sam uważasz, że ten opis pasuje...

- Droga pani Morgan, czy ktoś pani kiedyś mówił, że ma pani niewyparzoną buzię? - spytał Colin, siadając obok niej.

- W nocy mówiłeś coś innego.

Widząc jej nieśmiały uśmiech, wyciągnął do niej rękę.

- I rano też - dodała, zanim przygwoździł ją swoim ciałem.

- Tą buzią napytasz sobie biedy.

- Obawiam się, że już za późno na ostrzeżenie.

Kiedy dotknął wargami jej ust, oboje zapomnieli o Domu Marzeń i rychłym wyjeździe Colina.

Przepróżnowali resztę dnia, kochając się i bawiąc. Scarlett zbierała wspomnienia, które będą musiały jej wystarczyć, kiedy zostanie sama.

A później, znów z kocem i butelką wina, spędzili swój ostatni wieczór tylko we dwoje na polanie z widokiem na jezioro.

- Jeszcze chyba nigdy nie widziałem nieba tak pełnego gwiazd.

Colin leżał na plecach i zachwycił się tym odkryciem.

Leżąca obok niego Scarlett uśmiechnęła się.

- O ile dobrze odczytuję tę lekką, kolorową smugę na horyzoncie, to czeka nas jeszcze coś wspanialszego.

- Co takiego?

- Zorza polarna.

Spojrzał na nią zdziwiony, a potem znów zerknął w niebo.

- Naprawdę? Tutaj? Nie miałem pojęcia, że jesteśmy aż tak daleko na północy. I że to właściwa pora roku.

- Tutaj nigdy nic nie wiadomo. Widujemy ją przez całą zimę i czasem także latem, jeśli są odpowiednie warunki.

Leżeli tak i patrzyli, jak niebo stopniowo zmienia się z atramentowoczarne w szaroperłowe, potem staje się odcieniem niebieskiego i lawendowego ze smugami czerwieni i zieleni.

- Jak to się dzieje?

- Zależy, kogo o to zapytasz. Mackenzie twierdzi, że to robota indiańskiego czarownika.

- Najpierw duchy, teraz czary.

- Mówiłam już, że to wersja Mackenzie, nie moja.

- A Maggie? Ona też ma jakieś wyjaśnienie. Tylko nie mów, że to sprawka duchów.

Scarlett uśmiechnęła się lekko.

- Nie. Mówi, że J.D. przekonał ją, że coś tak romantycznego jak zorza polarna nie wymaga wyjaśnienia. Trzeba się nią po prostu zachwycać.

- A Scarlett Morgan? W co ona wierzy?

Spojrzała mu w oczy. Czułość, jaką w nich zobaczyła, kazała jej spuścić wzrok. Pragnęła wierzyć w czary legendy Indian Chippewa i poprosić, by zatrzymały przy niej Colina na jeszcze tysiąc nocy zorzy polarnej. Chciałaby wierzyć w cuda, gdyby dały jej to, czego pragnie. Wiedziała jednak, że to nie wystarczy.

Powstrzymując łzy, które napłynęły jej do oczu, celowo zepsuła nastrój.

- Ja wierzę, że to mors - odparła trzeźwo.

- Mors? - omal nie parsknął śmiechem Colin.

- Tak - potwierdziła, zadowolona z jego reakcji. - Gizer twierdzi...

- Mogłem się domyślić, że to wymysł Gizera.

- Więc Gizer twierdzi - powtórzyła, ignorując jego sceptycyzm - że jest taka stara eskimoska legenda, według której te kolorowe cienie to duchy zmarłych, grające w piłkę czaszką morsa. Lub odwrotnie - że to duchy morsów grają ludzką czaszką.

Colin zdecydowanie potrząsnął głową.

- Przykro mi, ale ta teoria do mnie nie przemawia. Chyba tym razem będę musiał poprzeć J.D.

Ledwo wypowiedział te słowa, zrozumieli oboje ich znaczenie. Colin był człowiekiem, który nie chciał ani nie potrzebował w swym życiu miłości. Miał swoje priorytety, ale miłości nie było wśród nich.

A jednak, leżąc tak obok Scarlett, patrząc w niebo emanujące kolorami, zaczynał wątpić w słuszność swoich dotychczasowych wyborów. Podobnie jak wątpił, czy zdoła się na to, by zostawić Scarlett tutaj i odejść.

Nagle zapragnął wiedzieć o niej więcej i nic nie było go w stanie od tego powstrzymać.

Obrócił się na bok i uniósł się na łokciu. Delikatnie pieścił szczupłą talię Scarlett. Po prostu czuł, że musi jej dotykać.

- Co stało się z twoim małżeństwem, Scarlett?

Wiedział, że nie ma prawa o to pytać. I przez chwilę, kiedy nie odpowiadała, spodziewał się, że to właśnie mu powie.

Odpowiedziała jednak, z lekką zadumą w głosie i starannie dobranymi słowami:

- To samo, co z wieloma małżeństwami. Byliśmy za

młodzi. Zbyt skoncentrowani na swoich własnych potrzebach. Zbyt niemądrzy, by sobie z tym poradzić. Nie wytrzymałszy tego napięcia i rozstaliśmy się.

Tak. Zwyczajnie, obojętnie. A jednak była spięta. Musiało być coś jeszcze.

- Tylko tyle? - spytał, choć dobrze wiedział, że nie powinien.

Scarlett westchnęła głęboko i wzruszyła ramionami.

- Mniej więcej.

- Masz z nim jakiś kontakt?

Po raz pierwszy na chwilę przestała być obojętna. Na jej wargach pojawił się gorzki uśmiech.

- Raz... może dwa w roku dzwoni, żeby porozmawiać z Casey. Zazwyczaj po to, żeby przeprosić, że zapomniał o jej urodzinach, za późno wysłał prezenty na Gwiazdkę lub nie mógł przyjechać, kiedy była w odwiedzinach u jego rodziców. Zawsze znajduje jakąś wymówkę. Jakiś wspaniały interes, który mu się właśnie kroi, a który jest ważniejszy od niej.

- Casey to słodkie dziecko - rzekł Colin, nie kryjąc gniewu. - Zasługuje na coś lepszego. Ty też zasługiwałaś.

Scarlett nie odpowiedziała.

- Kochasz go jeszcze?

Cisza nigdy nie wydawała mu się taka męcząca. Cekał na odpowiedź, zaprzeczając samemu sobie, że negatywna odpowiedź jest dla niego tak ważna, jak następny oddech.

- Chyba nigdy go nie kochałam - odparła w końcu Scarlett.

Wytłumaczył sobie, że żal w jej głosie spowodowany był okolicznościami, a nie smutkiem.

- Z początku szalałam za tym człowiekiem. Byłam nim

wręcz oczarowana. Ale nigdy nie przerodziło się to w miłość. Gdyby tak było, bardziej bym walczyła, by ocalić nasze małżeństwo. W końcu przestałam nawet starać się, by je utrzymać dla dobra Casey.

- Odeszłaś.

Scarlett skinęła głową. Nie z zadowoleniem. Ani z dumą. Po prostu z rezygnacją.

- A on nie próbował cię zatrzymać?

- Tego bym nie powiedziała.

- Nie był więc takim zupełnym idiotą.

już chciał powiedzieć, że mężczyzna musiałby być idiotą, żeby o nią nie walczyć. Jeszcze większym, by odejść.

Tak jak to on sam planował.

- John walczył ze wszystkim. Problem polegał na tym, że z niewłaściwych powodów.

Spojrzała na niego, a w jej oczach dostrzegł skrywane tajemnice.

- Po co my o tym rozmawiamy? Casey jutro wraca. Gizer też. I zjawia się nowi goście. To nasza ostatnia wspólna noc, Colin. Nie chcę jej spędzić na rozmowach o przeszłości.

Nic nie mógł na to poradzić. Nie chciał też pozwolić jej odejść. Nie miał jednak prawa ani do jej przeszłości, ani do przyszłości.

Miał tylko tę jedną noc i kilka jeszcze dni, kiedy będzie miał ją obok, ale nie w swoim łóżku. A potem odejdzie z jej życia i wróci do swojego.

- Powiedz mi, czego chcesz - szepnął, przyciągając ją do siebie. Gotów był jej dać wszystko, czego zapagnie.

Nie powiedziała mu, lecz pokazała. Namiętnością swego pocałunku i desperacją swego oddania. Na tej polanie,

pod rozgwieżdżonym niebem Minnesoty, w blasku zorzy polarnej, przyjęła go do swego wnętrza i dała wszystko, co miała. Kochała się z nim, jakby to był pierwszy raz, jakby to był ostatni raz... jakby żegnała go na zawsze.

- Nie zachowałeś się w porządku, co?

Był wieczór po powrocie Casey i Gizera do Purpurowego Wodospadu. Poprzedniej nocy kochał się ze Scarlett nad jeziorem.

Teraz stał na pomoście, wpatrywał się w mrok nocy i przywoływał tamte wspomnienia.

Głos Gizera był niemiłym przypomnieniem tego, o czym chciał zapomnieć.

Odwrócił się, wysilił wzrok i ujrzał staruszka stojącego przy pomoście.

- Kiedy mnie nie było - mówił dalej Gizer - a ty zostałeś tu sam z nią, nie mogłeś trzymać rąk przy sobie. Wiedziałem, że nie powinienem jej zostawiać z kimś takim jak ty.

Golin miał świadomość, że zasłużył sobie na te pretensje, choć Gizer nie był w stanie powiedzieć mu niczego, czego sam nie powiedziałby sobie przynajmniej tysiąc razy.

Odwrócił się w stronę jeziora. Odgłosy nocy i szum wodospadu zagłuszały oskarżenia Gizera i jego własne wyrzuty sumienia.

Scarlett nie powiedziała Colinowi, że przesłuchanie dotyczące osiedla odbędzie się w hotelu. Gdyby się nad tym zastanowił, dostrzegłby logiczność tego rozwiązania. Czyż było lepsze miejsce niż hotel usytuowany pośrodku tej ziemi, by domagać się jej ocalenia?

Tak pełnej ludzi jadalni nie widział od dnia przyjazdu. Kilkoro miejscowych przypłynęło łodziami, by poprzeć jedną lub drugą stronę. Zajrzeli nawet zaciekawieni hotelowi goście.

Greene'owie przybyli jako jedni z pierwszych i, na znak solidarności, siedzieli przy stoliku z Colinem, Casey i Gizerem. Hazzardowie zjawili się później. Zauważywszy J.D., Colin posłał mu ostrzegawcze spojrzenie.

Zupełnie tym nie zrażony, J.D. odpowiedział mu szczerym uśmiechem.

Colin mógł tylko pokręcić głową. Jamesa Deana Hazzarda nie można było nie lubić - a co dopiero się na niego gniewać. Chciał go zresztą nawet zbesztać, ale wtedy właśnie zabrała głos Scarlett.

Tłum zamilkł, kiedy elokwentnie i żarliwie przedstawiła swoje stanowisko. Słuchali wszyscy, ale ona zwracała się głównie do garstki przedstawicieli władz, prawników Domu Marzeń i reprezentantów firmy.

- Niezła jest, co?

To były słowa Casey, która poprzedniego ranka wróciła od Greene'ów tak wcześnie, że Colin i Scarlett musieli w pośpiechu wyskoczyć z łóżka i udawać, że nic się między nimi nie wydarzyło.

W tej sprawie Scarlett była zdecydowana.

- Casey nie może wiedzieć ani podejrzewać, co działo się tutaj podczas jej nieobecności. Wychowywała się bez mężczyzny. Nie chcę, żeby sobie o nas źle pomyślała.

Z upływem dnia coraz bardziej żałował końca ich intymności i straconej okazji porannego kochania się z nią jeszcze raz. Ciekaw był też, co pomyślałaby sobie Casey, gdyby wiedziała, co ich łączy.

Czy wpadłoby jej do głowy, że jest zakochany w jej matce? Czy zauważyłaby, kiedy tak siedział z dłońmi nagle zaciśniętymi na filiżance, że właśnie w tej chwili zdał sobie z tego sprawę?

Był zakochany. Po raz pierwszy w życiu był zakochany. Myśl ta uderzyła go jak obuchem w głowę.

Zaskoczony, wpatrywał się w kobietę, która przeniknęła tę, zdawałoby się, żelazną barierę. Zrozumiał, że był w niej zakochany od początku.

Po zaledwie jednym dniu spojrzeń z daleka i zwyczajnych tylko uprzejmości, po jednej długiej, pustej nocy bez niej, odczuwał boleśnie tę stratę. Do tej pory nie wiedział, że to, co traci, to miłość.

Teraz już wiedział.

Wciąż jeszcze próbował uporać się z tym nowym odkryciem i niedowierzaniem, kiedy głośnie, entuzjastyczne okłaski wypełniły jadalnię. Dopiero wtedy zorientował się, że Scarlett skończyła swoje wystąpienie. A dopiero kiedy przebiła się przez tłum i usiadła obok niego przy stoliku, uświadomił sobie, że odejście od niej będzie najtrudniejszą rzeczą w jego życiu.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Teraz możemy tylko czekać.

Mackenzie wypiła łyk mrożonej herbaty, uśmiechnęła się do Scarlett i zamilkła, jak wszyscy pozostali w jadalni.

Znajdowali się tam Greene'owie, Hazzardowie, Colin i Scarlett. Było późne popołudnie. Wszyscy pozostali uczestnicy dyskusji już się rozjechali. Wysłuchali jeszcze głosów J.D. i Mackenzie, popierających Scarlett, oraz paru innych, zarówno za, jak i przeciw. Władze hrabstwa cierpliwie słuchały wszystkich. Zareagowali dopiero wówczas, kiedy wystąpili przedstawiciele Domu Marzeń, z rysunkami, tabelami i ogromnymi sumami w dolarach. A tą reakcją była chciwość.

Wszyscy siedzący teraz przy stoliku zdawali sobie sprawę z siły dolara i jego przewagi nad sentymentami i ideałami.

- Leśna niańka - prychnęła Scarlett, ponuro spoglądając przez okno w kierunku wodospadu. - Ten nadęty, przepukny oportunistą nazwał mnie leśną niańką. Jakbym była jakąś zwariowaną starą panną, którą interesują tylko jej ukochane drzewka i roślinki.

- Nie przejmuj się - uspokoiła ją Maggie, dzieląc oburzenie przyjaciółki. - Nic tym nie osiągnął. Wszyscy, którzy cię znają, wiedzą, że to nieprawda.

- Niemniej jednak zasiał to ziarno w umysłach decy-

dentów - zauważył trzeźwo J.D. - A jak już je zasiano, to pewnie zakiełkuje i urośnie.

- Podobnie jak wpływy z podatków, jeśli zrealizują ten projekt. Hej, nie patrzcie tak na mnie - zaprotestował Golin, kiedy wszystkie trzy kobiety z oburzeniem spjrzały w jego kierunku. - Mówię po prostu jak jest. Pieniądze to najniższy wspólny mianownik. Przykro mi, ale moim zdaniem, czynnikiem decydującym będą tu pieniądze.

- Niestety, Colin ma pewnie rację - odezwał się milczący do tej pory Abel. I jak zawsze, wszyscy natychmiast zamienili się w słuch. - Zrobiłaś, co mogłaś, Scarlett. Może będziemy mieli szczęście i okaże się, że to wystarczy.

Wszyscy jednak obawiali się, że wcale tak nie będzie.

- Myślicie, że się z nią pogodzi? - spytał J.D., idąc wraz z Colinem i Ablem nad jezioro.

Maggie i Mackenzie razem ze Scarlett szły za nimi. Casey i Mark, z Nashatą i jej szczeniakami, byli już daleko z przodu. Cała ta procesja udawała się na przystań, gdzie przycumowany był hydroplan Hazzardów i łódź Greene'ów.

Colin wsunął ręce głębiej w kieszenie i wzruszył ramionami.

- Z najbardziej prawdopodobną decyzją? Nie. A czy jakoś to zniesie? Tak. Jest twarda.

- Czy nie mówiłem ci, że jest wyjątkowa?

Colin upewnił się, że panie nie mogą go usłyszeć.

- Wiesz co, Hazzard? Za wtrącanie się w nasze życie chętnie bym ci pokierzował trochę tę twoją piękną buziunię.

Idący wraz z nimi Abel parsknął śmiechem.

- Przepraszam. Ja sam też się w pewnym momencie nad tym zastanawiałem.

- Jestem urażony. Szczerze urażony, że mogliście mnie posądzić o wtrąca...

- Daj spokój, stary - przerwali mu chórem Colin i Abel. a potem wszyscy trzej się uśmiechnęli.

- No więc: jak będzie? - spytał J.D., przechodząc do sedna sprawy.

Colin spojrzął na niego oburzony.

- Nie wygłupiaj się - rzekł nie zrażony J.D. - Przecież widzę, jak na siebie patrzycie. Chcę po prostu wiedzieć, co masz zamiar w tej sprawie zrobić?

Nie było sensu zaprzeczać ani protestować.

- Tutaj nic się nie da zrobić - przyznał szczerze Colin.

- O czym ty mówisz? Wystarczy raz na was razem spojrzeć i widać, że jesteście dla siebie stworzeni.

Colin unikał przenikliwego wzroku J.D.

- To skomplikowane.

- To znaczy? - nie dawał się zbyć J.D.

- To znaczy, że my do siebie pasujemy, ale nasz styl życia nie.

- Więc znajdźcie jakiś kompromis. Wymyśl coś, stary, Będzie z niej piękna panna młoda.

- Subtelny to ty nie jesteś.

- Pomyśl o tym - poradził mu już bardzo poważnym tonem J.D. - Pomyśl, co byś stracił, gdybyś pozwolił jej odejść. Poza tym - dodał, by złagodzić trochę nastrój - chcę móc tu przyjeżdżać bez obawy, że Scarlett przebije mnie którymś ze swoich noży kuchennych.

- Jej noże to najmniejsze z twoich zmartwień, stary. Scarlett ma w stosunku do ciebie dużo mniej cywilizowane plany. Tylko dlatego nie wprowadziła ich w życie, że była zbyt zajęta sprawami osiedla.

Milczący do tej pory Abel pozwolił sobie na coś w rodzaju uśmiechu.

- Złagodnieje - rzekł z przekonaniem J.D. - A dla was na pewno jest jakieś rozwiązanie. Założę się, że coś wymyślisz.

Colin wierzchem dłoni otarł pot z czoła i po raz ostatni zamachnął się siekierą. Obumarła gałąź upadła z głośnym trzaskiem, zakłócając prawie idealną ciszę poranka. Harmonizowało to za to z jego- nastrojem.

Minioną noc spędził, zastanawiając się nad słowami J.D. Przyjaciel miał rację. Musi być jakiś sposób, by on i Scarlett mogli być razem. On sam nie był jednak w stanie niczego wymyślić.

- Nie rozumiem, czemu nie używasz piły - powiedziała siedząca obok na kamieniu Casey. - Byłoby ci łatwiej. I w dodatku szybciej.

Colin wcale nie chciał, by było mu łatwo. Ani szybko. Chciał, żeby robota tak go wykończyła, by wieczorem mógł zasnąć z wyczerpania.

Swoich kłopotów ze snem nie mógł już tłumaczyć zachowaniem Belindy. Od tamtej nocy, kiedy kochali się ze Scarlett. w jego pokoju było cicho i spokojnie. Żadnego trzęsącego się łóżka. Żadnych otwierających się okien. Żadnych cieni tańczących na ścianach. I żadnego problemu z wychodzeniem z pokoju. Żadnych snów.

Nie miał pojęcia, jak Casey wyjaśniłaby powody tych zmian, ale on wiedział swoje. Naprawił, co było trzeba za pomocą młotka, gwoździ i hebla. I nie musiał już śnić, bo jego sen się ziścił.

Gdyby tylko inne problemy udało mu się tak łatwo rozwiązać...

- Hej, hej - zawołała Casey, przypominając mu o swojej obecności i swym pytaniu. - Pytałam o piłę. Mam ci ją przynieść?

Golin pokręcił głową.

- Przyda mi się trochę wysiłku.

- Zachowujesz się jak moja mama - powiedziała tak, jak mówią nastolatki, kiedy zupełnie nie mogą zrozumieć dorosłych. - Ona też ciągle coś robi. Biega w kółko. Coś gotuje. Coś piecze. Co się z wami porobiło?

Colin nachylił się nad gałęzią i próbował zignorować uwagi, które usłyszał.

- Wydawało mi się, że ją lubisz - nie ustawała Casey. Podciągnęła kolana pod brodę i przyglądała się Colinowi uważnie.

Colin dalej bardzo był zajęty ścinaniem gałęzi.

- Chciałam... Sama nie wiem. Chyba chciałam, żebyś ją polubił. Czasami jest taka samotna. Nic o tym nie mówi, ale ja to wiem.

Colin zatrzymał siekierę w powietrzu i opuścił ją na ziemię.

- Twoja mama to wyjątkowa kobieta. Casey. I naprawdę bardzo ją lubie.

- Ale nie na tyle. by... no, wiesz. By stała się kimś ważnym w twoim życiu.

Tylko dziecko mogłoby ująć ów problem w taki prosty i zwyczajny sposób.

- Twoja mama jest dla mnie ważna.

- To dlaczego kiedy widzisz, że nadchodzi, zawsze idziesz w przeciwną stronę?

Colin poddał się i usiadł na ziemi obok Casey, Oparł się na łokciach, wyciągnął przed siebie nogi i skrzyżował je w kostkach. Wpatrywał się w czubki swoich butów, a lekka bryza chłodziła jego czoło.

- Tak to wygląda?

- Tak to wygląda. I tak jest? - spytała Casey po długiej przerwie.

Mimo wszystko spojrział na nią. Zobaczył, że bardzo chce wiedzieć, i uznał, że powinien być z nią szczerzy.

- Darzymy siebie uczuciem, Casey, ale oboje wiemy, że nic z tego nie będzie.

- Bo mama nie jest kobietą z wielkiego świata?

- Nie, nie - zapewnił ją szybko. - Bo żyjemy w odmienny sposób. Twoja mama ma ciebie i ten hotel. Ja swoją firmę.

- Na pewno byłoby inaczej, gdybym ja nie stała wam na drodze.

Jej wniosek był tak nagły, a smutek tak oczywisty, że Colin musiał natychmiast to sprostować.

- Nawet tak nie myśl. Jesteś tak samo wyjątkowa jak twoja matka, Casey. Żaden mężczyzna nie potrafiłby się wam oprzeć.

Casey zmarszczyła brwi i przez chwilę skubała obcięte nogawki swoich dżinsów.

- Mój ojciec nie miał z tym kłopotów.

Niełatwo mu przyszło powstrzymanie się od komentarza na temat faceta, który ignoruje dziecko tak wyjątkowe jak Casey. Ze względu na nią musiał jednak powiedzieć coś innego.

- Twój tata pewnie już zdał sobie sprawę, że popełnił wielki błąd, pozwalając wam odejść.

Casey zsunęła się z kamienia i spojrzała na niego ze smutkiem.

- To ciekawe, że nie wpadło ci do głowy, że masz zamiar zrobić dokładnie to samo?

Z tym oskarżeniem i smutnym spojrzeniem ogromnych, brązowych oczu zostawiła go samego.

I to właśnie spojrzenie kazało mu usiąść i jeszcze raz się zastanowić. To spojrzenie i ta bezpośrednia opinia. Dlaczego chce odejść? Bo jest tak pewny, że Scarlett nie zechce pójść z nim? A może właśnie boi się, że z nim pójdzie?

Nigdy do tej pory nie rozważał stałego związku z jakąkolwiek kobietą. Nie wpadło mu do głowy, że mógłby być z którąś na zwsze.

No tak, ale nigdy nie był zakochany. I nigdy nie chodziło o kobietę taką jak Scarlett. Może pora posłuchać tego, co Hazzard, Casey i jego własne serce próbują mu powiedzieć?

- Chodź ze mną.

Scarlett drgnęła gwałtownie na dźwięk głosu Colina. Ostatnio w ogóle była bardzo nerwowa. Nękały ją wspomnienia. Żal. Jakieś dziwne cienie przeszłości.

Kiedy ostatnio przespaa całą noc? Wtedy, kiedy się kochali z Colinem. Przed przesłuchaniem.

Miała wrażenie, że od tamtej pory minął miesiąc, a nie zaledwie kilka dni.

Nadrabiając miną, odwróciła się od pieca, i spojrzała ku drzwiom, w których stał Colin. Ręce skrzyżował na piersi, ramieniem wsparł się o framugę. Do tej obojętnej postawy zupełnie nie pasował wyraz jego twarzy - poważny i zadumany.

- Od jak dawna tu stoisz? - spytała.

Nie posłuchała głosu swego serca i nie podeszła do niego. Był taki piękny, taki poważny, dokładnie taki, jakiego pokochała i jakiego starała się unikać.

- Chodź ze mną, Scarlett - powtórzył. Jego twarz i spojrzenie były nadal bardzo surowe.

Scarlett spróbowała to zlekceważyć.

- Jestem w trakcie przygotowywania kolacji. Nie mogę w tej chwili z tobą iść.

Colin ze zniecierpliwieniem potrząsnął głową.

- Nie mówię o teraz, o tej chwili, lecz o tym, co będzie za pięć dni, kiedy będę wyjeżdżał. - wyjaśnił i zamilkł. - Chcę, żebyś pojechała ze mną - dodał w końcu.

Wymuszony uśmiech zniknął z jej twarzy. Wpatrywała się w jego oczy. serce waliło jej w piersi jak oszalałe. W głowie kłębiły się tysiące myśli. Próbowwała zrozumieć, co naprawdę znaczą jego słowa.

Zanim zdążyła odetchnąć czy choćby pozbierać myśli, Colin był już przy niej. Ręce położył jej na ramionach i spojrzał głęboko w oczy.

- Wyjedź ze mną. Razem z Casey.

Scarlett była zszokowana i przerażona.

- Colin... nie możemy teraz nigdzie wyjechać. Hotel... Są goście. W przyszłym tygodniu przyjeżdżają następni. Muszę przecieżyć...

- Zapomnij o hotelu. Znajdziemy kogoś, kto cię zastąpi. Pomyśl dla odmiany o sobie. Zastanów się, czego pragniesz. Czego chcesz.

Pragnęła jego. Chciała zapomnieć, że nie może go mieć.

- Nie wiem, co powiedzieć, Colin. To... to naprawdę

nadzwyczajne, że zapraszasz nas... w odwiedzinie, ale nie mogę zostawić hotelu.

Przyciągnął ją mocniej do siebie.

- Nie zapraszam was w odwiedzinie - mruknął.

Z tą samą gwałtownością, z jaką przyciągnął ją do siebie, wypuścił ją z objęć. Szybkim krokiem przeszedł przez kuchnię, palcami przeczesał włosy. Potem odwrócił się do niej.

- Czy muszę to powiedzieć? Czy naprawdę nie wiesz, o co proszę?

Scarlett gwałtownie zamrugała powiekami. A potem znalazła odpowiedź.

- Nie. Nie wiem, o co prosisz. I wydaje mi się, że ty też nie - dodała zaczepnie.

Kiedy zaklął pod nosem i nie zaprzeczył, wyczuła, że się nie myliła.

Jej i tak zranione serce cierpiało teraz jeszcze bardziej. Tak bardzo kochała tego dobrego, uczciwego człowieka, który próbuje zrobić to, co uznał za stosowne, ale nie jest jeszcze o tym przekonany.

- Scarlett... Jeszcze nigdy nie proponowałem żadnej kobiecie, żeby dzieliła ze mną życie. Do żadnej nie czułem tego, co czuję wobec ciebie.

-- Nie -- szepnęła, ale tak nieśmiało, że zamilkł i słuchał. Nie chciała, by powiedział więcej. Przecież i tak odejdzie.

- Nie mów tego, czego byś potem żałował. Nie zaczynaj znów czegoś, z czego nic nie będzie.

Odwróciła głowę, by nie widział łez, zbierających się w jej oczach. Była przekonana, że ma rację. Bała się, że mogłaby ulec jego namowom. Musiała być twarda i zdecydowana.

- Nie mogę jechać z tobą. Nie potrafię zostawić tego miejsca. Tyle tli jeszcze do zrobienia. Purpurowy Wodospad jest moim domem. Twoim - Nowy Jork. Nie byłabym tam szczęśliwa, a nie mogę żądać, byś zamieszkał tutaj. Nie byłoby ci tu dobrze. Oboje od początku o tym wiedzieliśmy. Oboje wiedzieliśmy, że to, co nas łączy, nie może przetrwać.

Zadrzała, kiedy stanął za nią i położył ręce na jej ramionach.

- Czy nie moglibyśmy chociaż spróbować czegoś wymyślić?

Jego głos był jak pieszczota. Jak obietnica. Jak błaganie.

- Proszę - zaczęła ostrzej, niż zamierzała. Ogarniał ją jednak strach i chciała, żeby to zrozumiał. - Proszę, nie mów już nic więcej. A jeśli ci na mnie zależy, w ogóle o tym nie mówmy.

Nadal stał tak pośrodku kuchni, kiedy Scarlett dawno już z niej wybiegła. Była daleko od niego, daleko od swoich pragnień, zalana łzami, których nie była w stanie powstrzymać.

A więc wszystko popsuł. Nie wiedział jeszcze jak, ale był pewien, że tak się stało. Z początku czuł się pokonany. Teraz był po prostu wściekły. Na siebie, że wszystko spartaczył. Na nią, że uciekła. Nie miał jednak zamiaru poddać się bez walki.

Do następnego wieczora, z głębokim przekonaniem i podnieceniem, z pomocą krótkofalówki i rozmowy z Ablem Greene'em, wszystko udało mu się pozałatwiać.

Pozostało jeszcze powiedzieć o tym Scarlett. Wiedział od razu, co się święci, kiedy ujrzał ją pędzącą ścieżką w jego kierunku.

Silny swymi argumentami, czekał na nią spokojnie. .

- Czy zechcesz mi łaskawie powiedzieć, o co tu chodzi? - zażądała, wymachując mu przed nosem jakąś kartką.

Colin, nie zrażony, rzucił kątem oka na papier i wzruszył ramionami.

- To drobne zamówienie, które złożyłem.

- Drobne zamówienie? Tu są materiały warte kilka tysięcy dolarów. Nie stać mnie na to! I dlaczego w ogóle uznałeś, że masz prawo cokolwiek zamawiać?

Spodziewał się, że będzie zła. Wiedział, że będzie sobie musiała z tym poradzić. Nie podejrzewał tylko, że on sam będzie miał takie wyrzuty sumienia. Nie miał jednak innego wyjścia. Scarlett jest taka dumna. Gdyby spytał, czy może coś dla niej zrobić, odrzuciłaby ten pomysł bez wahania.

- Po pierwsze, nie musisz za to płacić - odparł rozsądnie. - Ja to pokryję. Po drugie, wygrałem los na loterii, więc mam pewne prawa decydowania o tym hotelu, Czyżbyś zapomniała, że jestem jego współwłaścicielem?

Scarlett patrzyła na niego z niedowierzaniem. Colin zrozumiał, że tym stwierdzeniem nie zarobił ani jednego punktu.

- Jesteś współwłaścicielem. Ale ja także - zauważyła ostro. - Stałeś się posiadaczem niewielkiej części. Jeden los loteryjny za tysiąc dolarów nie daje ci prawa do podejmowania takich decyzji.

- Zgadza się, te prawa nie wiążą się z jednym losem.

- Odczekał chwilę i wtedy wytoczył największe działo.

- Ale czterdzieści losów to coś więcej niż tylko chwilowe zainteresowanie.

Przyglądał się uważnie, jak jej twarz robi się kredowobiała.

- Ku... kupiłeś czterdzieści losów? - Była wyraźnie przerażona. Nie mogła, nie chciała uwierzyć w to, co przed chwilą usłyszała. - Dlaczego? - Patrzyła na niego jak na potwora. - Dlaczego wydałeś takie pieniądze na coś, czego nie potrzebujesz i o czym nic nie wiedziałeś? Dlaczego wykupiłeś wszystkie losy?

Jedno słowo zwróciło jego szczególną uwagę.

- Jakie wszystkie? Kupiłem tylko czterdzieści, nie wszystkie osiemdziesiąt.

- Osiemdziesiąt? Nie było osiemdziesięciu.

Colina ogarnęło złe przeczucie. Aż mu zaschło w gardle.

- Ale przecież... J.D. twierdził, że sprzedał już pierwsze czterdzieści i namówił mnie na kupno pozostałych czterdziestu, żeby mieć to już z głowy.

Ledwie wypowiedział te słowa, zrozumiał, że Hazzard wpuścił go w maliny.

Scarlett nie była w stanie w to uwierzyć. Nie chciała. Nie mogła.

- Nie było innych losów - wyjąkała z trudem. - J.D. chciał sprzedać je za osiemdziesiąt tysięcy, ale zgodziłam się tylko na czterdzieści. Nie mogłam pozwolić na więcej. Nie chciałam zaprzedać swojej duszy.

Znów spojrzała mu w oczy. W jej spojrzeniu była jeszcze nadzieja.

- Naprawdę kupiłeś wszystkie losy?

Chętnie by skłamał i zaprzeczył, gdyby to mogło oszczędzić jej cierpienia. Było jednak za późno na kłamstwa i za późno, by cokolwiek zmienić.

- Na to wygląda.

Scarlett zacisnęła rękę na swej szyi i z rozpaczą spojrzała w kierunku hotelu.

- No, cóż... tak widać musiało być. Gratuluję. - Znów na niego spojrzała. - Wygląda na to, że od tej pory pracuję dla ciebie.

- Nie rozumiem.

- Purpurowy Wodospad jest teraz bardziej twój niż mój. Za twoje czterdzieści tysięcy dolarów spłaciłam hipotekę.

Oczy jej zasnuły się mgłą i odwróciła się, by odejść.

- Scarlett, zaczekaj.

- Na co? Żeby posłuchać o twoich planach związanych z hotelem? Żebyś jeszcze mnie czymś dobił?

- Nie mam najmniejszego zamiaru przejmować twojego hotelu.

- Nie? To zamówienie świadczy o czymś innym - odparła, przyciskając mu do piersi papier.

- Nic nie rozumiesz - rzekł, przytrzymując ją za ramię. - Zrobiłem to dla ciebie. Dla nas. Chcę, żeby Purpurowy Wodospad był taki, jakim go sobie wymarzyłaś. Żebyś dłużej już nie musiała się o niego niepokoić. Za ciężko pracujesz, Scarlett. Zasługujesz na czyjąś pomoc. Zatrudnimy kogoś, by ci pomógł.

- Nie chcę nikogo zatrudniać. Hotel jest mój. A w każdym razie był. - Z trudem powstrzymywała łzy. - Ale nie tylko o to chodzi. Czy ty ze swoimi pieniędzmi jesteś tak oderwany od rzeczywistości, że nie rozumiesz, co tu jest najważniejsze? Nie ja. I nawet nie hotel. Jeśli tu nie zostaną i nie będę walczyć. Dom Marzeń przejmie wszystko.

Colin ze smutkiem pokręcił głową.

- Jesteś tylko kobietą. Nie dasz sobie rady ze wszystkim.

- Spróbuję - odparła z dumą.

- Nie licząc się z niczym?

Scarlett milczała. Była przestraszona. I zakłopotana. I bardzo, bardzo zmęczona.

- Nie wygrasz, Scarlett. Myślę, że ty też o tym wiesz. Walczysz ze mną, bo zdajesz sobie sprawę, że tamtej walki nie wygrasz. Nie rób tego. Nie walcz z nami. Pojedź ze mną do Nowego Jorku.

- Wiesz, że to niemożliwe.

- Tylko dlatego, że nie chcesz. Na pewno coś wymyślimy. Możemy dzielić nasze życie między Nowy Jork i Purpurowy Wodospad.

Scarlett nie słuchała. Nie mogła się pogodzić z myślą, że straciła kontrolę nad swoim hotelem.

- Ty nic nie rozumiesz - powtórzyła zrezygnowana.

- To mi pomóż. Pomóż mi zrozumieć. Myślałem, że robię coś, co sprawi ci przyjemność. Byłem pewien, że oferuję jakieś wyjście.

- Wyjście? Wyjście polegające na pokonaniu mnie? Tak, to ci się właśnie udało. Czuję się nie tylko pokonana, ale upokorzona. Po raz drugi w życiu. Znowu zależę od mężczyzny, podejmującego za mnie decyzje.

Colin był tak zaskoczony, że na chwilę aż zaniemówił.

- Tak to widzisz?

- Bo tak jest. Zamówiłeś materiały, Zdecydowałeś, co będzie dla mnie najlepsze... Nie, dziękuję. W małżeństwie z Johnem miałam takich sytuacji aż nadto. Przyjechałam tutaj, żeby od tego uciec. Zjawiłam się tu, żeby udowodnić sobie, że jestem wystarczająco silna, by dać sobie radę sama. I tak było - dopóki ty ze swoimi czterdziestoma tysiącami dolarów nie pozbawiłeś mnie tego wszystkiego.

W końcu Colin zrozumiał głębię jej rozpacz. Domyślał się, że były jeszcze jakieś przyczyny jej nieudanego małżeństwa. Teraz pojał wreszcie, jakie. Jej były mąż był tyranem, a ona jego ofiarą.

Musiał ją przekonać, że tym razem jest inaczej.

- Nie chciałem ci niczego odebrać. Scarlett. Pragnąłem ci dać...

Scarlett zdecydowanie pokręciła głową.

- Nie. Przejąłeś kontrolę nad moim życiem. Już nigdy się na to nie zgodzę. Nie chcę twojej pomocy. Nie pozwolę, byś się wtrącał. Nie chcę, byś podejmował za mnie decyzje i nie pragnę, byś kierował moim życiem. - Jej głos stał się teraz lodowaty. Podobnie jak spojrzeńie. - Rozumiesz?

- Tak - odparł po długim namyśle. - Chyba tak. Inny mężczyzna odebrał ci niezależność i teraz ja za to płacę.

W kąciku jej oka pojawiła się łza.

- O, tak, zapłacałeś. Mam nadzieję, że nie żałujesz.

Tym razem nie zatrzymał Scarlett. Pozwolił jej odejść. Nie mógł już nic więcej zrobić. To, co miało ich zbliżyć, oddaliło ich na zawsze.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Tej nocy Colin uznał, że nie pozostało mu nic innego, jak wyjechać. Nie tego chce. Scarlett też nie tego potrzebuje. Ale będzie musiała dojść do tego wniosku sama.

O świcie skontaktował się przez krótkofalówkę z J.D. i bez żadnych wyjaśnień zażądał, by po niego przyleciał.

Kilka minut później usłyszał warkot silnika hydroplanu. J.D. dopływał już do pomostu. Colin wziął walizki i zszedł na dół.

W holu stała Casey. W milczeniu i ze smutkiem patrzyła, jak ich gość stawia bagaże na podłodze.

- Gdzie mama?

Dziewczynka brodą wskazała w kierunku kuchni.

- Piecze czekoladowe ciasteczka.

Colin milczał. Bał się chwili, kiedy będzie musiał tam wejść i powiedzieć Scarlett do widzenia. Już pożegnanie się z jej córką było wystarczająco trudne.

- Piecze te ciasteczka tylko wtedy, kiedy jest smutna - dodała Casey, zupełnie nieświadoma, że sypie sól na bardzo świeże rany.

Colin wsunął ręce w kieszenie i wpatrywał się w czubki swych butów.

- Niestety, ja jestem za to odpowiedzialny. Zepsułem wszystko, Casey. Zraniłem ją. Niechący.

- To jej to powiedz.

W jej oczach, tak bardzo podobnych do oczu matki, pojawiły się łzy.

Colin pokręcił głową.

- Nie chce mnie słuchać. Muszę zaczekać, aż zmieni zdanie.

- To znaczy, że wrócisz?

W jej pytaniu było tyle nadziei. Colinowi zrobiło się jeszcze smutniej.

- Sam nie wiem, co to znaczy. Wiem tylko, że muszę stąd wyjechać. Popatrzeć na to wszystko, zachowując dystans. Ona też tak powinna zrobić.

Casey złożyła ręce na piersi i spojrzała na niego wzrokiem skrzywdzonego zwierzątka.

- Będzie za tobą tęskniła. Ja też.

Pod wpływem jej spojrzenia Colin stał się miękki jak wosk.

- Tak, wiem. Ja też. - Wahał się tylko przez chwilę. Wyciągnął ku niej ramiona. - Chodź tu, mądralino.

Przywarła do niego z desperacją, jej łzy moczyły mu koszulę. A on milczał ze ściśniętym gardłem.

- Chciałam nauczyć cię pływać - powiedziała, pociągając nosem, a jego serce rozpadło się na tysiące kawałków.

- No cóż, tak widać było nam pisane. Skały nie pływają i ja chyba też się tego nie nauczę.

Słyszając to idiotyczne porównanie, Casey uśmiechnęła się lekko. Colin uściskał ją i odsunął od siebie.

- Opiekuj się mamą.

Dziewczynka skinęła głową.

Jeszcze raz uściskał jej rękę i wolno, lecz zdecydowanie ruszył w kierunku kuchni.

Kiedy otworzył drzwi, powitał go aromat świeżo upie-

czonych ciasteczek. Na widok Scarlett, pięknie zarumienionej i trochę potarganej, serce mu się ścisnęło.

Obrzuciła go tylko szybkim spojrzeniem, włożyła rękawicę i nachyliła się, by wyjąć z pieca kolejną blachę z ciastkami.

- Przyszedłem się pożegnać.

To były trudne do wypowiedzenia słowa. Cierpiał, patrząc na nią i wiedząc, że może widzi ją po raz ostatni.

Scarlett zamarła na ułamek sekundy. Później poruszała się automatycznie. Wsunąć łopatkę pod ciasteczko, zsunąć je z blachy na półmisek do wystygnięcia. I tak w kółko.

Colin czekał w milczeniu i obserwował jej ruchy. Były coraz wolniejsze, aż w końcu Scarlett znieruchomiała. Nadal na niego nie patrzyła. Po prostu stała ze spuszczoną głową i zamkniętymi oczami. Był pewien, że z jej sercem dzieje się to samo, co z jego.

- Poprosiłbym cię jeszcze raz, żebyś ze mną pojechała, ale nie zniósłbym kolejnej odmowy.

Milczenie. Ciężkie. Stanowcze.

Colin przez dłuższą chwilę zastanawiał się, co powiedzieć. Zapomniał o zdrowym rozsądku. Posłuchał głosu swego serca.

- Wiem, że nie chcesz tego słyszeć, ale powiem i tak. Kocham cię, Scarlett. - Kiedy wypowiedział te słowa, reszta poszła już łatwo. - Chciałem spędzić z tobą resztę życia. Ale nic z tego, prawda? Bo winisz mnie za to, co uczynił ci twój mąż.

Przerwał na chwilę, a w kąci oka Scarlett pojawiła się łza.

- Nie jestem taki jak on, Scarlett. Po prostu chciałem, żeby wszystko między nami ułożyło się jak najlepiej. Nie

chciałem tobą rządzić. Pragnąłem tylko cię kochać. Wszystko wyszło nie tak. Bardzo tego żałuję. I chyba nigdy nie przestanę.

Drżenie ramion Scarlett było jedyną odpowiedzią. To za mało, by go zatrzymać. Musiał odejść.

- Nie bój się o hotel. Abel zajmie się renowacją. Jeśli będziesz chciała wprowadzić jakieś zmiany w planach, omów to z nim.

Nie stało się to, na co czekał. Nie odwróciła się do niego, nie padła mu w ramiona, nie przebaczyła. Nie mógł jednak tak po prostu odejść. Musiał po raz ostatni jej dotknąć.

Podszedł do niej ostrożnie i jeszcze ostrożniej uniośł rękę do jej twarzy, odsunął z policzka rudozłoty kosmyk i pocałował ją delikatnie.

Potem odwrócił się i czując jeszcze jej słodki zapach, wyszedł z hotelu.

- Jak to wytłumaczysz?

Słyszając głos Casey, Scarlett odwróciła się. Stała w drzwiach do pokoju Belindy. Wsparta o framugę, wpatrywała w palącą się słabym płomieniem lampę naftową.

- Właśnie się nad tym zastanawiam.

Od dwóch tygodni, od wyjazdu Golina, kiedy szła wieczorem na górę, zastawała drzwi do tego pokoju otwarte i zapaloną lampę.

Przeszła przez pokój. Ogarnęły ją wspomnienia tego, co wydarzyło się tutaj między nią i Colinem. Nachyliła się nad lampą i zdmuchnęła płomień. Wiedziała, że kiedy obudzi się rano, lampa znów będzie płonać.

- -Może czeka na niego, żeby wrócił.

Smutny, pełen bólu głos córki sprawił jej przykrość. Od

wyjazdu Colina Casey była wyjątkowo milcząca. Scarlett poczuła wyrzuty sumienia. Była tak pogrążona we własnej rozpacz, że nie zauważyła cierpienia Casey.

- Wobec tego traci czas i marnuje moją naftę - odparła, starając się nadać swojemu głosowi wesołe brzmienie. Brak w nim było jednak przekonania i Casey znakomicie o tym wiedziała.

- Mogłabyś go poprosić, żeby wrócił.

- Oj, córeczko, to nie jest takie proste.

- Właśnie że tak. Bardzo proste. Musisz tylko to zrobić.

Scarlett nagle poczuła się bardzo zmęczona. Usiadła na brzegu łóżka i skinęła na Casey.

- Chodź tutaj.

Ze spuszczoną głową Casey przysiadła obok niej. Scarlett objęła ją ramieniem i przytuliła do siebie.

- Polubiłaś Colina, prawda?

- To bardzo miły facet. Powiedział, że wszystko między wami popsuł. Mówił, że cię przeprosił. Dlaczego nie możesz mu wybaczyć?

Ileż razy w ciągu ostatnich dwóch tygodni sama sobie zadawała to pytanie? Co godzinę. Każdego dnia. Co noc od chwili, kiedy pozwoliła mu odejść.

- Nie wiem - przyznała w końcu szczerze. - Może po prostu się boję.

- Colina?

Scarlett opuściła ramię i złożyła ręce na kolanach;

- Chyba można to tak określić. Boję się tego, co do niego czuję. Boję się jego sukcesów. Jego pewności siebie. Boję się, że mnie zdominuje i przestane być sobą - dodała ze słabym uśmiechem. - Ma to jakiś sens? A może ty mi jakoś pomożesz to wszystko zrozumieć?

- Kochasz go?

Scarlett znów się uśmiechnęła. Tym razem, by powstrzymać łzy.

- Chyba tak.

Casey była zupełnie zaskoczona,

- Jeśli go kochasz, to dlaczego pozwoliłaś mu odejść?

Po raz kolejny przekonała się, że nigdy nie zrozumie dorosłych.

Kiedy Scarlett została sama w pokoju, w którym kochała się z Colinem, wciąż prześladowało ją pytanie Casey. To samo pytanie, które zadawała sobie sama tysiące razy.

Jeśli go kochasz, to czemu pozwoliłaś mu odejść?

Wszystko się zmieniło. Cały jego system wartości. Wszystko, na czym mu zależało. Wszystko, co kiedyś było dla niego ważne.

Od dwóch tygodni przebywał w tym mieście. Ile razy spoglądał przez okno na rozciągające się w dole betonowe budynki, tyle razy myślał o lesie. Kiedy szedł ulicą, z jej kakofonią dźwięków i miejskich zapachów, przypominał sobie ciszę, śpiew ptaków, orzeźwiający zapach świeżego powietrza i sosen.

Nie mógł położyć się wieczorem do łóżka, nie widząc u swego boku Scarlett - z jej opaloną skórą, cudownym ciałem, uśmiechającej się do niego zmysłowo i bardzo kobieco w blasku zorzy polarnej.

- Colin?

Obok niego stał jego brat, Cameron, z jakimiś dokumentami w ręku.

- Co?

- Pytałem o ten projekt Blacka. Mówiliśmy o przekro-

czonym budżecie. Hej? Jesteś tu? Czy ty w ogóle mnie słuchasz? Ciało widzę, ale gdzie przebywasz myślami?

Colin odwrócił się do okna.

- Zajmij się tym sam. Przecież nie muszę wszystkiego robić osobiście.

- I kto to mówi? Co ci się tam na tej północy przydarzyło? Dawniej nie zrezygnowałabyś z kontroli nad żadną sprawą.

Kontrola. Znow to słowo. To, które rzuciła mu w twarz Scarlett. Dopóki jej nie stracił, uważał pragnienie kontrolowania wszystkiego za zaletę, a nie za wadę.

- Rób, co uważasz, Cameron, i nie zwracaj mi głowy.

- Jeśli ktoś zwrócił ci w głowie, to na pewno nie ja.

Chcesz wiedzieć, kto?

Colin zacisnął zęby i milczał.

- Kobieta, prawda? - powiedział po chwili Cameron, sam zdziwiony swym odkryciem. - O kurczę. Strzała Amora w końcu ugodziła mojego braciszka.

- Nie przeciągaj struny.

- Tym razem mogę zaryzykować. Wspaniale! Już się bałem, że to się nigdy nie stanie. Kto to jest i dlaczego nie ma jej tutaj?

Colin odwrócił się gwałtownie i obrzucił go morderczym spojrzeniem.

- Co? Odrzuciła cię? - Milczenie Colina tylko potwierdziło jego domysły. - Odrzuciła. Niesamowite.

- Nie mam nastroju do żartów.

- Myślisz, że to coś nowego? Odkąd wróciłeś - zresztą wcześniej, niż miałeś zamiar - jesteś w nastroju wyłącznie wisielczym.

- Czy mógłbyś się łaskawie stąd wynieść i zostawić mnie w spokoju?

- Chętnie, stary. Ale zrób coś z tym - dodał Cameron, nie tylko jako brat, ale także jako przyjaciel.

„Zrób coś z tym”.

Słowa Camerona dręczyły Colina przez wiele godzin po wyjściu brata. A nawet przez kilka następnych dni. Takie proste. Takie zwięzłe. Robił coś ze starymi, zrujnowanymi budynkami i były potem jak nowe. Brał się do rzeczy niemożliwych i odnosił sukcesy.

Czemu więc nie potrafi naprawić tego, co popsuło się między nim i Scarlett?

Kilka dni później frustracja wyгнаła go z biura. Wybrał się na miejsce swojego najnowszego przedsięwzięcia. Kupił za psi grosz całkiem zrujnowaną kamienicę. Odbudowę rozpoczęto w ubiegłym tygodniu. Ubrany w kask i robocze buty, kręcił się po terenie, wśród kurzu i pogruchotanych cegieł, kiedy wyczuł, że nie jest sam.

Wyciągnął z kieszeni chustkę, wytarł twarz i odwrócił się, czując na sobie czyjś wzrok.

Parę metrów od niego, w tumanie pyłu, stał jego brat i jakaś drobna kobieta w kasku.

Jego pierwszą reakcją była złość. Cameron nie powinien przyprowadzać nikogo obcego na teren budowy. Zsunął z czoła kask i ruszył w ich kierunku - i nagle przystanął, bo rozpoznał wymykające się spod plastikowego hełmu złotorude kosmyki.

Zamrugał kilkakrotnie powiekami, aż w końcu pojął, że to Scarlett tam stoi - nieśmiała, zakłopotana, piękna.

Za jej plecami Cameron pomachał mu dłonią i zostawił ich samych.

A on nadal stał jak wryty. Czuł promienie słońca pada-

jące mu na plecy, pot spływający z czoła, przyspieszone bicie swojego serca.

- A więc to tak bogacz zarabia pieniądze - powiedziała, robiąc jeden nieśmiały krok w jego kierunku.

Nie odrywając od niej wzroku, ściągnął z rąk robocze rękawice, a potem z głowy kask.

- Co robisz tak daleko od domu?

- No cóż, ktoś bardzo dla mnie ważny zaprosił mnie kiedyś do Nowego Jorku. Postanowiłam sprawdzić, czy zaproszenie nadal jest ważne.

Colin wsunął kask pod pachę i przyglądał jej się uważnie.

- Nie jestem pewien, czy to był taki dobry pomysł. To znaczy fakt, że przyjełaś to zaproszenie.

- Nie? - wyszeptwała niepewnie, a w jej oczach pojawił się popłoch.

- No, wiesz, miasto o tej porze roku nie jest najprzyjemniejszym miejscem. Tak sobie myślałam... miałem nawet nadzieję, że ktoś bardzo ważny dla mnie zaprosi mnie do tego cudownego hotelu, który zbudowano niedaleko najwspanialszego wodospadu na świecie.

Wyraz ulgi w jej oczach złagodził ból jego serca. Łzy, które się tam potem pojawiły, omal nie rzuciły go na kolana.

- Tęskniłem za tobą, Scarlett - wyjąkał z trudem.

Wyciągnął ku niej ramiona i wziął ją w objęcia.

Mogąc go znów dotykać, miała wrażenie, że jest w niebie. Czując go w sobie, tam gdzie było jego miejsce, była taka szczęśliwa. Zasypiając w jego ramionach, spokojna, bezpieczna, kochana, wiedziała, że tu jest jej miejsce.

- Śpisz?

Jego oddech musnął włosy na jej karku. Nie wysuwając się z jego objęć, obróciła się na plecy, by móc widzieć jego twarz.

Leżeli w łóżku. W jego mieszkaniu. Kochali się.

W ciemnościach cienie tańczyły na ścianie. Światło świecy odbijało się w oczach Colina.

- Kocham cię - szepnęła.

- I... - Colin z uśmiechem domagał się dalszego ciągu.

Scarlett spuściła wzrok.

- Wcale nie jesteś taki jak on.

Uniósł jej głowę i zmusił, by na niego spojrzała. Uśmiech z jego twarzy zniknął, ale czułość nie.

- Powiedz mi. Powiedz, żebym nigdy nie zrobił takiego błędu, który on popełnił.

Scarlett westchnęła i przez chwilę zastanawiała się, jak to powiedzieć. W końcu zaczęła mówić, z nadzieją, że Colin ją zrozumie.

- Nie jestem pewna, czy John rzeczywiście popełnił jakieś błędy. - Jego milczenie wcale jej nie zraziło. Ciągnęła dalej. - To raczej ja je popełniłam. Pozwoliłam mu nad sobą zapanować. Nawet nie wiem, jak do tego doszło. Z początku byłam młodą, chcącą zadowolić męża żoną, a potem okazało się, że nie jestem niczym więcej. Ma to jakiś sens?

Colin pogładził ją po policzku.

- Mów dalej.

- Chyba robiłam to dla siebie. Chciałam, żeby moje małżeństwo było takie, jak związek moich rodziców. Nie zdawałam sobie tylko sprawy z tego, że ich małżeństwo polega na braniu i dawaniu. W naszym związku ja dawałam, a on brał. Sama tak to ułożyłam. Z perspektywy czasu

nawet nie mogę winić Johna, że z tego skorzystał. Jak ktoś kładzie przed tobą dywanik, to po prostu po nim stąpasz.

Zamilkła na chwilę i mocniej się w niego wtuliła.

- Stało się tak, że zaczął sprawdzać, na ile może sobie pozwolić. A raczej, na ile ja mu pozwolę. I pozwalałam na wiele. Kiedy wreszcie zmadrzałam, było już za późno. Stracił dla mnie szacunek i ja straciłam szacunek dla siebie. Od tamtej chwili wszystko zaczęło się psuć.

Znow odetchnęła głęboko.

- Kiedy odeszłam, był tak zaskoczony, że odzyskałam wolność, i tak przyzwyczajony, że to on zawsze ma ostatnie słowo, że nie chciał mi dać rozwodu.

- Co go w końcu przekonało?

- Ja. Ja i moje odnalezione poczucie własnej wartości. Z szarej myszki stałam się wiedźmą, a taka wcale mu się nie podobałam.

- Dobra strategia - pochwalił ją i mocno uściskał.

- To nie była strategia. Nie miałam innego wyjścia. I wierz mi, nie byłam wtedy sympatyczną osobą. Ale byłam silniejsza. I właśnie dzięki tej sile udało mi się przez to wszystko przejść i stać się znów takim człowiekiem, jakim chciałam być.

- Osobą niezależną. Polegającą na samej sobie.

- Tak. Nie było to łatwe, ale udało mi się. A potem zjawiłeś się ty. Ty ze swoimi zmysłowymi oczami i uwodzicielskim uśmiechem, urokiem, pieniędzmi i władzą.

- I przestraszyłaś się, że będę tobą rządził.

- Tak.

- No bo co ja robiłem? Rzuciałem pieniędzmi na lewo i prawo. Chciałem wszystko zrobić za ciebie. Z wdziękiem słonia w składzie porcelany.

Rozbawił ją jego samokrytycyzm.

- I urokiem...

- Telewizyjnego kaznodziei - dokończył za nią.

Tym razem się roześmiała.

- Z urokiem najbardziej fascynującego i bezinteresownego kochanka na świecie.

Colin milczał przez długą chwilę.

- Zamierzałem wrócić. Gdybyś tu nie przyjechała, wróciłbym i tak. Żeby wszystko naprawić. Pragnąłem cię przekonać, że nigdy nie chciałem tobą rządzić.

- Sama do tego doszłam - szepnęła przytulona do jego piersi. - Gdybym nie była tak szaleńczo w tobie zakochana i tak pewna, że nic z tego nie będzie, zrozumiałabym to wcześniej.

- Co byś zrozumiała?

- Twoje motywacje - odparła bez wahania. - W końcu dotarło do mnie, że zależy ci tylko na tym, aby mnie było dobrze. Zrozumiałam - teraz wsparła się na łokciu, by móc patrzeć mu w oczy - że robiłeś to wszystko dlatego, bo mnie kochałeś, bo ci na mnie zależało i że próbowałeś coś wymyślić, żebyśmy mogli być razem. Doszłam do wniosku, że wcale ci nie zależy, by mieć władzę, rządzić i cokolwiek kontrolować.

- Kocham cię - szepnął, przyciągając ją do siebie.

EPILOG

- Scarlett, jesteś tam?

Kiedy nie odpowiedziała. Colin stanął w progu drzwi wiodących na strych i zajrzał do środka.

Promienie słoneczne, filtrujące kurz, tańczyły na stropowych belkach.

- Scarlett - zawołał jeszcze raz i odsuwając pajęczynę, wszedł do środka.

- Tutaj.

- Maggie powiedziała, że tu jesteś.

Przysiadł obok niej, klęczącej na podłodze. Wokół porozkładała zatechłą zawartość starego kuferka.

- Co robisz?

- To należało do niej - powiedziała, biorąc ostrożnie do ręki kawałek czerwonego jedwabiu.

- Do kogo?

- Do Belindy. Popatrz. - Wstała, unosząc do góry materiał. - To jej czerwona suknia.

Od trzech tygodni mieszkali w hotelu i Colin już dawno przestał dyskutować ze Scarlett i Casey o Belindzie.

Był przekonany, że robi to po to, żeby sprawić im przyjemność, ale czasami, jak na przykład teraz, rozumiał doskonale to, co mogły czuć jego ukochane kobiety.

Dotknął czubkami palców rąbka falującej sukni.

- Czemu jesteś taka pewna, że to suknia Belindy?

- Dlatego.

Scarlett sięgnęła do kufra i ostrożnie wyjęła stamtąd zdjęcie. Przez chwilę mu się przyglądała, a potem podała je Colinowi.

Był to stary dagerotyp, przedstawiający młodą, piękną kobietę ubraną w powiewną, jedwabną suknię. Tę samą, którą Scarlett trzymała w rękach.

- Odwróć. Przeczytaj, co jest napisane z tyłu.

- Belinda Jackson - przeczytał głośno Colin. - Rok tysiąc dziewięćset dziewięć.

Spojrzał na jeszcze raz na zdjęcie, potem na suknię.

- Niewiele po tej kobiecie zostało, co?

Scarlett uśmiechnęła się smutno.

- Przypominała o sobie w inny sposób. Może teraz będzie już mogła spoczywać w pokoju.

Kiedy zeszli na dół, w kuchni wrzało jak w ulu. Maggie i Mackenzie zajęte były pieczeniem weselnego tortu. J.D. i Abel skarżyli się, że przecież żaden z nich nie jest kwiaciarzem. Mimo to rozwieszali na gzymsach okien w jadalni girlandy kwiatów.

Casey i Mark urządzali nad jeziorem kąpiel Hersheyowi, Nashacie i szczeniakom.

Gizer, przejęty jak zwykle, siedział w bujanym fotelu na werandzie i zabawiał rodziców Scarlett i Golina opowieściami o jeziorze, hotelu i o tym, że on pierwszy uznał Golina za odpowiedniego męża dla Scarlett.

Cameron czekał na narzeczonych przy schodach. Poprzedniego dnia pomógł Colinowi urządzić gabinet - z faksem, telefonem, modemem i innymi cudami techniki, które miały mu umożliwić kierowanie firmą, kiedy wraz ze Scarlett zamieszkają w Purpurowym Wodospadzie.

Coiin nie był w hotelu przez prawie miesiąc i dopiero wtedy zrozumiał, jak bardzo ceni sobie spokój. Wiedział, że będzie tu spędzał więcej czasu, niż mu się z początku wydawało. Z drugiej jednak strony nie mógł się już doczekać, kiedy pokaże swoim paniom Nowy Jork.

- Hej. wy - powitał ich z uśmiechem Cameron. - Już myśleliśmy, że postanowiliście nieco wcześniej zacząć wasz miesiąc miodowy. Gdzieście się podziwiali?

- Dżentelmen nie powinien o to pytać - odparł Golin, ujmując Scarlett pod ramię.

- Dżentelmen nie powinien też o tym mówić - dodała Scarlett, przytulając się do narzeczonego.

- Podobają mi się twoi przyjaciele - rzekł Cameron, kiedy weszli do jadalni, gdzie J.D. wyśpiewywał coś na cały głos, a Abel znosił to ze stoickim spokojem.

- Chciałbym zauważyć, że J.D. zazwyczaj nie jest taki...

- Nieznośny? - odpowiedział z powagą Golin.

- Właśnie - zgodziła się Scarlett, nie zważając na protesty siedzącego na drabinie J.D. - Chciałam powiedzieć: liryczny. Ale od chwili kiedy się dowiedział...

- Od kiedy się dowiedziałem, że będę ojcem, nie mogę przestać śpiewać - dokończył J.D. z uśmiechem pełnym dumy, a potem miłości i uwielbienia, kiedy do jadalni weszła Maggie.

- Obawiam się, że to dziecko urodzi się już głuche na jedno ucho.

Maggie obdarzyła męża pobłażliwym uśmiechem, sugerując, że może sobie fałszować, ile chce. bo dla niej jego głos zawsze będzie brzmiał lepiej od głosu Franka Sinatry.

- Hej, czyś ty zwariowała? - warknął Abel, schodząc z drugiej drabiny i wyjął z rąk Mackenzie, która właśnie weszła do jadalni, torbę pełną zakupów.

- Spokojnie, tatusiu - roześmiała się Mackenzie. - W tej torbie są tylko serwetki.

- Widzisz, co cię czeka, Scarlett? - powiedziały chórem Maggie i Mackenzie. Zaczerwieniły się aż po uszy, zawstydzone tą jednogłośnieścią.

- Czy jest coś, czego mi nie powiedziałaś, kochanie?

Wszystkie głowy zwróciły się w kierunku stojącej w drzwiach matki Scarlett, Elizabeth.

- Nie, proszę pani - rzekł Colin, kiedy zauważył, że Scarlett jest zbyt zaskoczona, żeby odpowiedzieć. - Nasze przyjaciółki po prostu uprzedzają fakty. W taki sposób rodzą się plotki. - Spojrzał z naganą na winowajczynię, a potem uspokajająco na matkę Scarlett. - Zapewniam panią, że jeśli kiedyś postanowimy powiększyć rodzinę, pani dowie się o tym pierwsza.

- Amy się przedtem dobrze zastanowimy - powiedziała rozbawiona tocząca się rozmową Scarlett. - Szczególnie jeśli przez dziewięć miesięcy miałabym znosić takie cackanie się ze mną i na dodatek twój śpiew.

- Nic z tych rzeczy - zapewnił ją Colin, absolutnie pewien, że on nigdy nie będzie zachowywał się tak idiotycznie jak Abel i J.D.

- Ale wiedz, że i tak, bez względu na cokolwiek, mam zamiar was obie rozpieszczać - dodał.

- Jakoś sobie z tym poradzę - odparła po chwili udawanego namysłu Scarlett.

- To dobrze - ucieszył się Colin i wyjął z kieszeni kopertę. - Możesz się więc już zacząć przyzwyczajać.

Scarlett z zaciekawieniem spojrzała najpierw na narzeczonego, a potem na kopertę.

- Prezent dla mojej narzeczonej.

Spojrzenie Scarlett powiedziało mu, że cokolwiek tam będzie, sprawi jej to przyjemność. Otworzyła kopertę i wyjęła z niej jakąś kartkę.

- O. - Kiedy zdała sobie sprawę, co trzyma, ręce zaczęły jej drżeć. - O Jezu. To... to jest...

W jej oczach rozbłysły łyzy niedowierzania.

- To akt własności ziemi Iversona - dokończył za nią Colin. - Purpurowy Wodospad jest teraz twój, Scarlett. Już nigdy nie będziesz się musiała bać, że ktokolwiek wyrąbie ten las czy cokolwiek wybuduje w tej okolicy.

- Jak? - wyjąkała z trudem, przyciskając mocno do piersi bezcenny dokument.

Colin wzruszył ramionami, pieszcząc ją swym spojrzeniem.

- Powiedzmy, że złożyłem Iversonowi lepszą ofertę niż inni kontrahenci.

- Myślałam, że jak tylko hrabstwo dało pozwolenie, natychmiast podpisali z nim umowę.

- Mieli taką nadzieję, ale okazało się, że mam ogromną zdolność perswazji.

Z oczami pełnymi łez Scarlet wtuliła się w jego ramiona.

- To już zdążyłam zauważyć - szepnęła.

A potem, ku radości wszystkich zebranych, pocałunkiem udowodniła mu, jak bardzo go kocha.

Przyszła do niego w jedwabiu. W jedwabiu Belindy. W błyszczącej czerwieni. W sukni rozciętej z przodu.

Kwiaty, które niosła, były takie same, jak te w jej włosach. I tylko zapach skóry mógł konkurować z ich wonią.

Poślubiła go przy Purpurowym Wodospadzie, który był jej tak bardzo drogi.

A kiedy wszyscy poszli już spać. Colin wziął ją na ręce i zaniósł do pokoju Belindy, gdzie już nigdy nie tańczyły na ścianie żadne cienie i gdzie lampa naftowa na stoliku przy oknie sama się nie zapalała.

RS